

NA SKALNEM PODHALU



KAZIMIERZ TETMAJER

NA SKALNEM
PODHALU

V.

KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

DRUKARNIA E. I DR. K. KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE.

O LUDZKIEJ BIEDZIE

Nie bójże się, hłopce, nie bójże się biędzy,
jak cie bięda suko, to cie znajdzie wsendy!...

śpiewał sobie żalośliwym głosem Marcin Mudroń
Postrachany, a w takt przykiwywały mu się po-
mierzwione, jakby powstające ze strachu do góry
włosy i wylupione, szeroko rozwarte, jakby w wie-
cznym przerażeniu, blado-niebieskie oczy. W takt
też kiwała się sucha, kanciasta, wybladła, podłu-
żną twarz, niebywałej chudości, na cienkiej szyi,
w takt kiwało się szczupłe, nikłe, kościane z chu-
dości ciało, ruchliwe i sprężliwe. A kiedy tata
tak śpiewał, w takt przyśpiewywały mu dzieci,
mała trzyletnia Zosia i mały czteroletni Jaś:

Nie bójże się, hłopce, nie bójże się biędzy,
jak cie bięda suko, to cie znajdzie wsendy!...

piskliwemi, smutnemi, dziecinnemi głosikami. A
wtedy w Marcinie Mudroniu ścisnęło się, krwa-
wiło i płakało serce.



Marcin Mudroń był tak strasznie biedny, że nie tylko w całej wsi, ale w całej okolicy biedniejszego chłopca nie było. A jeszcze mu i baba dzieci nieletnie odumarała.

Marcin Mudroń chodził koło ścian, jak błędny. Chwytał się każdej roboty, byle dzieci wyżywić, jako tako wyżywić, przecie jak w zimie ogrzać. A on sam nie pamiętał takiego dnia, kiedy syty był.

Nie pamiętał takiego dnia, odkąd siebie pamiętał. U rodziców, ba, u dziadków była taka sama bieda, jak u niego.

— Z takiego my jest przeklętego pokolenia! — myślał Marcin Mudroń.

Aż raz, w jesieni, kiedy wicher przez dziury w stancyjce Mudroniowej świstał, w Marcinie Postrachanym zadrgało serce.

Wójt, Mikołaj Cisek, zwołał chłopów na radę; przyszedł Mudroń i pokornie stanął za plecami wszystkich. A było to przed chałupą wójtową, na łączce, po południu w niedzielę.

Wójt, w czarnej bogatej czusze, w nowym kapeluszu z drobnymi kostkami, z ogromną mosiężną spinką z łańcuszkami u koszuli i w pasie na cztery klamry pod same pachy, popatrzył dookoła siebie, chrząknął i tak się ozwał:

— Moji ludkowie! Zawołalek was haw, bo mam wam cosi pedzieć. Jantoni Rymac przed śmierciom okfiarował krowe, cielnon, pięknom, łacia-

tem, wto urobi Świentego Jantoniego, coby go postawić napośród wsi, haw na brzyzku, nizyl Maciułaska przy Pietrowi przy Pawłoskim. To miejsce sie nieboscykowi nolepsi udawało, a mnie, niby wójta, hagzekutore swojej wóle obrał. Kie haw Świenty Jantoni stanie, przywiezie sie ksiendza z miasta, co go poświeńci i bedzie. Nieboscyk Jantoni Paćkora, mam pedzieć Rymac, okfiarował na ten figure Świentego Jantoniego zdatnom jedle we swoim lesie. Juz je nacyhowano. Ten jedle sie zetnie, okrzese i przywiezie, a jest tu haw wtory pomiendzy wami, coby Świentego wyrzezać zdolal?

Nie odpowiedział nikt. Któżby się był na taką rzecz porywał? Widywali ludzie figury w kościele w Nowym Targu, na odpuście tu i tam, jak gdzie który poszedł, ale jedno rzadko, bo do kościoła bardzo daleko ze sród lasów mieli, drugie patrzal ta chłop i patrzal, ale jak na tego Świentego, czy tę Świentą, a choćby Pana Jezusa i Matkę Boską zrobili, to ani myślał. Była figura — dość.

Milczą tedy wszyscy.

— No — odzywa się wójt po chwili — niemas haw zodnego, coby sie na to podjon?

Nie odpowiedział nikt.

— Krowa — rzekł wójt, — piękna i cielna. A je som przirucem ku temu dwa korca grul.

Wójt, Mikołaj Cisek, był bardzo bogaty.

— Jo dom barana — ozwał sie jego brat, Jakób Cisek, również bogacz.

— A jo przycyniem korzec owsa! — zawołał Michał Klamkos.

— Jo półkorca jarcu! — krzyknął Jan Niewiara.

— Jo drugie pół! — Kuba Krzysiak.

— Jo prosie! — Michał Malinowski.

— A jo štuke płótna, bo wiem, ze go ta baba mo!

— Jo dom srybelnego talara! — zawołał Jasiek Pawlik.

— Je dy to nie ty, jino ten, coś mu wzion! — zadowcipkował któryś, bo Pawlik był znany złodziej.

Zaśmiali się chłopi i mimowoli wszyscy spojrzeli ku staremu Józkowi Harbutowi, o przydomku Młot, najbogatszemu chłopu na okrąg dziesięciu wsi, który nie tylko na wielkim obszarze pola siedział, dwiesta owiec i pięćdziesiąt sztuk hrubego statku chował, ale z pradziada, dziada, ojca i z własnej młodości ze zbójectwa miał mieć beczkę złota w piwnicy, a który, jak wiedziano, to i owo z duszy splukać pragnął, a przytem pyszny był.

Patrzeli na niego chłopi, nakoniec spytał się Klamkos:

— A wy, Harbut?

— A jo — odpowiedział Harbut, waząc powoli głos w namyśle, aby nie chybić efektu, ale przejść

wszelkie oczekiwanie, a przytem ofiarę godną siebie Panu Bogu złożyć — jo dom dziesięć maddziarskik dukatuk.

Wszyscy osłupieli. Cisza zapanowała zupełna.

— No, wto sie cuje przy siéle? — zapytał wójt.

Jednak nikt nie odpowiadał, nikt się nie czuł przy sile, aż nagle z po za pleców wszystkich drżącym, jakąś jakby rozpaczą wypchniętym z gardła głosem krzyknął Marcin Mudroń:

— Jo!

— Wto? Wto?

— Mudroń! Marcin Mudroń! Postrohany! — odpowiedziano.

— Mudroń! Marcin? — zapytał wójt zdziwiony.

— Jo — odpowiedział Mudroń.

— A zdoles ty?

Mudroniowi nie dwojono, na to był za biedny.

— O! Cozby nie zdołał? — krzyknął Pawlik, któremu Mudronia żal było, że w takiej nędzy żyje, choć go miał za głupca, bo go kilkakrotnie na złodziejstwo napróżno namawiał. — Cozby nie zdołał? Zdole!

— Zdole! zdole! — odezwali się ci i owi. — Déj Mudroń syéko robuje! Za kowala, za budarza, za druciarza! Zrobi!

— No iści, wto mo zarobić, to nolepsi, coby Mudroń zarobił — rzekł Klamkos.

— O haj — odparł Jakób Cisek.

— A wy, Harbut, jako padacie?

— Je cożyk miał padać? Niek urobi, wto fce. Mnie jedność. Temu, cy drugiemu dam. Jak Mudroń sprawi, to jego.

— No to wiés — powiada mu wójt — jutro jedle zetniemé. A kaz wolis robić? U mnie, cy przy swojej hałupie?

— O hań, przy hałupie, przy dzieciak — odpowiedział Mudroń.

Chłopi byli radzi. Najpierw radzi byli, że najbiedniejszy i to jeszcze taki strasecny biedak się wspomóże, powtóre, że taki, co mu i zazdrościć niéma co, a nakoniec, że wierzyli w Mudroniowe talenty. Przytem radzi byli, że się u nich, we własnej wsi taki znalazł, co taką rzecz sprawi, że nie trza po inyk wsiak o takiego pytać, albo aż w mieście, w Nowym Targu, majstra szukać.

— He, Mudroń biédok, ale głowe mo! — mówił Michał Klamkos.

— Biéda go wyucyła na sytko! — mówił Jakób Cisek.

— Na syćkie sposoby!

— Ej, hłopie, ale ono go wej onacyło, onacyło! Od malučka! Déj go przecie bacem. Mnie jus béto na sternosty, kie on taki hłopeyk w kosulce ganiał, gaci, przepytujem, mu nie syli, bo nie béło s cego, a kie mu w powietrze moskola kuścik, abo grule warzonom rucili, to tak w powietrzu dopad, jak pies. Bo to strześnie głodne a biédne bélo.

— No, ale sie teraz sprości! To sytko nic. Ale za te dziesięć dukatów Harbutowyk to se i pola kupić moze.

— Ze ba jako?! Kupi! Jesce i kęs!

— Skończyła sie Mudroniowa bięda.

— Zje dy dobrze.

— To nie, jino Pombóg niebosecyka Rymaca tak wej nadethnon.

— Moze? A to wiecie i Harbut dobrze robięł, co zbijał, bo kieby nięmiał, toby niedał.

— Sprawiedliwie padacie. Juści widno Pana Boska Opatrzność ku temu wiedła. Kieby Harbut nie krađał, cozby biędnemu dał? Kradnij, ale dej! Takie jest Boskie prawo.

— A bo wiera takie!

A Marcin Mudroń chodził jakby w załsnieniu, jakby w tumanie złotym.

Krowa, cielę, dwa korce grul, baran, korzec owsa, dwa po półkorca jarcu, prosię, sztuka płótna, talar i — Marcin Mudroń sam przed sobą nawet prawie wymówić nieśmiał — dziesięć Harbutowych dukatów! Dziesięć dukatów! Madziarskich dukatów!

Mudroń nigdy śrybelnego talara, nie dopiero złotego dukata nie widział — a miał takich dziesięć mieć!... Dziesięć mieć!..

Kiedy przyszedł do domu, Jaś i Zosia siedzieli na progu.

— Dzieci! — krzyknął Mudroń. — Beemy mieć

krowe, ciele, barana, prosie, dwa korce grul, korzec owsa, dwa po półkorca jarču, štuke płótna, śrybelny talar i dziesięć madziarskik Harbutowyk dukatów! Dzieci!

Ale dzieci nie rozumiały nic. Pierwsza Zosia zapytała:

— Co beemy mieć?

Ale Mudroń jej już nie powtórzył, co będą mieli, tylko porwał ją na jedną rękę, Jasia na drugą i zaczął to jedno, to drugie całować i przyciskać do twarzy, nakoniec z nieopanowanej radości obrócił się z dziećmi na pięcie i zakrzyczał głośno:

Powiadajom na mnie, co je niémom pola!

Na Cyrwonym Wirhu połówecka moja!

I zaczął się śmiać, tupać nogami, podrygiwać, potrząsać głową, aż się Jaś roześmiał, a Zosia, przestraszona, rozplakała.

Mudroń rzucił się na pościel, jak pijany, nie zważał, że na wieczerzę zjadł jeden zimny ziemniak, bo więcej dla niego niebyło. A w noc śniło mu się, że koło niego tak olbrzymie karpiele rosna, że na szczudłach po nich musi chodzić, takich, na jakich za dawnych czasów, jak ojcowie opowiadali, od osady do osady ludzie chadzowali, bo jeden mieszkał haw, a drugi o mile.

I rano jeszcze taki wesoły się obudził. Jakoś nie zastanawiał się nad tem, jaką to robotę podjął?

Huczało mu w głowie to bogactwo, które miał dostać, po za tem na nie miejsca w głowie nie miał.

Chodził, jak błędny koło chałupy, nie jadł nic, ledwo tylko zbaczył sobie i dzieciom dać pośniadać.

Nagle przed południem para gniadych wójtowych koni zajechała: na przedniej i na zadniej karze łańcuchami upięty przyjechał okrzesany tram jodłowy Świętego Antoniego.

— Biercie sie zaraz do roboty — mówił parobek wójtów, zrzucając drzewo przed izbą Mudroniową. — Wójt kozeli pedzieć, coby to wartko bęło.

— Będzie — odpowiedział Mudroń.

Parobek spiał łańcuchami kary, skoczył na siodłowego, śmignął po naręcznym biczem i ruszył kłusem. Głośno się rozległo jego:

Skondze idzies, hłopce? Z doliny od koni.

hoćby ed dziewecyny — e! wtoz mi zabroni?! Hej ha!

Przyszedł Jaś i przyszła Zosia i stanęli z ponad kłocem jodłowym. Stanął nad nim także Marcin.

Kloc był ogromny, okrzesany, biały, świeży, pachnący. I dziwnie martwy. Marcin tyle takich kłoców przy budowie widział, tyle się w lesie u ludzi przy drzewie narobił — nigdy nie odebrał

tego wrażenia martwoty ze świętego, okrzesanego, białego pnia, jak teraz.

Chciał go ruszyć nogą, ale się wstrzymał — miał to być przecie Święty Antoni. Dotknął go ręką — kłat wydawał się Marcinowi zimniejszy, niż wszystkie, których dotychczas dotykał.

Zdjął go jakiś zabobonny lęk, przeszedł nawet dreszcz.

— Niemas dziwoty nijakiej — pomyślał — dy to przecie Świenty...

Patrzył Marcin Mudroń na kloc, a przypominał sobie, gdzie jaką świętą figurę w kościele widział?

A zdaleka, zdaleka zagrało jeszcze w echu parobkowskie:

Ani tak nie jidzie austryjaeki Dónaj,
jako dziewce jidzie, kie jom wiedzie śuhaj! Hej ha!...

— Wiera! Temu hań dobrze! — mruknął sam do siebie Mudroń.

A Jaś i Zosia patrzyli na jodłę nieruchomi, az Jaś zapytał:

— Tato? Co to?

— Świenty be — odpowiedział Mudroń.

— A Świenty co?

— Świenty, dziecko, to Świenty.

— A — rzekł Jaś z przekonaniem.

— Tato! — odezwała się Zosia.

— Co dzicie?

— Jeść.

Jeść. A tu w izbie niebyło nic. Warzyło się parę grul na obiad, ale jeszcze surowe były. A zresztą niebyło nic.

Porwał Marcin Mudroń Zosię na ręce, przycisnął do siebie, a gorące łzy trysnęły mu z oczu.

— O moje biédarstwo! O moja bogacko! — mówił łkając. — Wiés, w tym haw kłocie jedlowym majontek lezy! Jus niebe Zosia nigda głodna, niebe jój nigda ziuziu, niebe nigda nieodziata! Nigda! Nigda! Nigda!

I zanosił się od płaczu z bólu nad nędzą swych dzieci, rozrzewnienia na myśl o tych dostatkach, któremi je otoczy.

— Tato plako — zauważył Jaś.

— Plako — powtórzyła Zosia.

A Mudroń postawił Zosię na ziemi, skoczył do izby, wygrzebał gdzieś suchy ułomek moskola, wrzucił jej w garść i począł dalej patrzeć na kłoc jodłowy.

Patrzył, patrzył i nic nie widział... Kieby jeszcze tén parobek zaśpiewał!... Póki głos choć zdaleka dolatał, nie czuł się Marcin tak samotnym z tym Świętym, śpiącym w jodłowym drzewie.

— On hań jest, Świenty Jantoni, ale jako go dostać?

He, niebees ś nim jinacyl robiel, jino jako ze złobe, cy z ławom popod ściane... Trza wymiérzac i ró**b**...

Ba — ale jak?

Złób to złób, a ława to ława... Ale haw trza głowe, rence, nogi wyrzezać... Trza sprawić ocy, nos, gembe... A jesce to nie tak, ale u Świentěj osoby... I kieby tó ta jesce taki Świenty nie taki, ale to ze samego pirsego końca Świentyk, ze samego przodka... To telo, co Świenty Jan, bez mała co i Świenty Józef.

I padł Marcin Mudroń na kolana, prasnął kapelusz z głowy, przeżegnał się i począł się modlić na głos: Panie Jezu, Ojce świata, dej cobyk przecie tego Świentego Jantoniego z tój jedle wykrzesał, i Ty, Świenty Jantoni, patrónie złodzieji, dopomóz, cobyk Cie przecie telo doprawdziel, coby kozdy doświadcel, ześ to wiera Ty sam, a nie wtory jiny, Jacenty, cy Bartłomién. Jamen! Jamen! Jamen!

Poczem wstał, odgarnął z czoła włosy i szepcąc: nie Świenci gorki lepiom, ba zduny — poszedł do izby po cieślicę, po świder, po młotek, piłę, po cały sprzęt, jaki miał, bo sam nie wiedział, co mu do tej roboty może być potrzebne.

I jakieś wiedzenie weń weszło, snadź Pan Jezus i Świenty Jantoni wysłuchali jego modlitwy, bo począł krzesać.

Na obiad tylko tyle, co skoczył grule odecdzić i dzieciom dał, sam ledwie co do ust włożywszy, a zresztą krzesał, odrzynał piłą, mierzył i karbował, do zachodu słońka.

Zmordowany, dorobiony, zziajany rzucił się na pościel, czyli to, co się pościelą nazywało.

— Dawitna bo dawitna ta robota, ale donośny koń kazdom, i nocienzejsom fure siana rusy... A pote kie musis, to musis...

Jaś i Zosia spali przytuleni do siebie. Jaś usnął z nadgryzionym ziemniakiem w małej rączce. Skulone dzieci leżały pod lichą płachtą, noc była zimna.

Zdjął ze siebie Marcin Mudroń czuchę, krótką, białą czuchę, gdyż się czem innem nieokrywał, bo niebyło, i przyrzucił nią dzieci.

Został w serdaku.

Ale potem zdjął ostrożnie, delikatnie czuszkę z dzieci, a przykrył je serdakiem, żeby im cieplej było pod wełną.

Zaczęło mu się dopiero drzemać, kiedy słyszy, dzieci się ruszają.

— Jasiu! — szepce Zosia.

Jaś śpi.

— Jasiu! — szepce Zosia głośniej.

— Co? — obudził się Jaś.

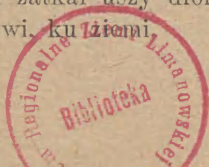
— Dejze mi ten grulecte, co jom w rency trzimes.

— Dobrze, ne...

— A jo ci dom ś niej połowecte...

— Dobrze, dej..

Marcin Mudroń zatkał uszy dłońmi i obrócił twarz ku barłogowi, ku ziemi.



— Serce! Strzim! Serce! Strzim! — jęczał Marcin Mudroń w sobie.

Usnął twardo, nie śniło mu się nic, obudził się przed świtaniem, klęknął, pacierz zmówił, obmył się przed izbą, z garka zimnego ziemniaka z wco-rajsza wyłowił, delikatnie z dzieci serdak zdjął, bo zimno było jeszcze na polu, a czuchą je znowu przyodział, z okrzesów z jodły ogień rozniecił i śniadanie nastawił i zaraz do roboty wyszedł.

Kloc mokry od rosy porannej szarzał w mroku i w mgłę. Mgła gęsta przyległa okolicę, na deszcz, który już nawet siompił.

— Ale Marcin nie zważał na to. Ujął cieślicę i dalej, podług znaków wywiertanych świdrem, krzesać począł.

Siompawica poranna poczęła się powoli, jak to zwykle bywa, przemieniać w lić; puściła się ulewa. Ale Mudroń pracował dalej.

Aż ukazał się w progu Jaś w koszulinie i począł wołać:

— Tato! Tato! Telo dysc rumoli! Pocięz do izby!

A za nim wychyliła główkę Zosia i zawołała:

— Tato! Telo lumoli! Pocię!

Ale Marcin tylko się uśmiechnął do dzieci i kiwnął ku nim ręką, na znak, aby się cofnęły z progu. Krzesał, a modlił się do Świętego Antoniego, żeby ta lejba ustała przecie jako. I od południa

nagle wiatr rozgonił chmury i słońce wyjawilo się na niebo.

Wielka, ogromna radość i otucha wstąpiły w serce Marcina. Ozgajdało się, słonko wysło, Święty wysłuchał jego prośby i upytał Pana Boskom Moc o pogodę.

Choć cały ciekący od wody, rzezał i piłował Marcin teraz z podwójną siłą i energią. Już poczęło się wylaniać to, co mu się przedstawiało jako głowa Świętego.

I zeszedł jeszcze dzień jeden i drugi, aż pod noc, na czwarty dzień od zaczęcia roboty, Święty Antoni wydał się Mudroniowi skończonym. Trza go było pomalować, a to już będzie łatwo. Włosy na żółto, brwi na czarno, oczy na niebiesko, twarz na różowo, usta na czerwono, odzienie na czarno, ręce i nogi na biało. Zaraz rano po pieniądze na farby do wójta pójdzie i, przygotowawszy dzieciom strawę, do miasta po nie poleci.

Tej nocy miał Marcin Mudroń śliczny sen. Zdawało mu się, że Święty Antoni przez łąkę jasną, zieloną, pełną kwiatów, jak na wiosnę bywuje, szedł i dwoje jego dzieci za ręce prowadził. Jasia po prawej stronie, Zosię po lewej. Dzieci się do niego uśmiechały, a on, co je z ręki puścił, to je po głowach pogładził. Słońce takie jasne świeciło, jakiego Marcin nigdy nie widział. Była to niedziela cicha i pogodna, a kwitnąca kwiatami. Szedł Święty Antoni z dziećmi Mudronia przez łąkę co-

raz dalej, coraz dalej, aż w jakiś obłok złocisty począł z niemi wnikać, aż zniknął.

Obudził się Marcin Mudroń pełen rzeźwości i wesela. Nauczywszy dzieci, aby od izby nie odchodziły i gdzie jeść mają nagotowane, poszedł do wójta.

Wójt się prawie na oborze kręcił.

— Nieg będzie pokfalony! — ozwał się Mudroń, zdejmując pokornie kapelusz.

— Na wieki wieków! Je cos ta? — zapytał wójt wyniosłe.

— Świenty gotowy. Sełbyk na farby w Nowy Targ.

— E wiera! Cysto piękniejek o farbuk zaba-cył! Kielo to trza?

— Cy jo wiem? Trza farby zółtėj, cornėj, bio-łėj, niebieskiėj, cyrwonėj i różanej. Sześci farbów trza.

— Ale moc?

— Je ta jino jacy cornėj, na odzienie.

Wójt sięgnął za pas, dobył trzy cwancygiery, dał Marcinowi i rzekł:

— No to léć! A jak co zwysys, to oddaj!

— Tak będzie! Ostańcie s Pane Boge! — odpowiedział Marcin, ukłonił się wójtowi nisko i ruszył przed się.

Nakupił farb, jakich trzeba było, głód mu kiszki kręcał, ale sobie z domu zapomniał jedzenia wziąć, a choć cwancygiera i trzynaście grajearzy

zwyższył, nieśmiało pieniędzy wójtowych ruszyć. Ale w mieście było tyle obwarzanków, pierników, cukierków dla dzieci!... W samym tym sklepie, gdzie na farby był... Trzy razy Mudroń Szaflarską ulicą wychodził i trzy razy wracał... Nakoniec niemógł się przewalczyć, niemógł się przełamać — — kupił dzieciom cukierków za dwa dudki wójtowe.

Postanowił to powiedzieć wójtowi i że mu wróci z zarobku ze Świętego. Postanawiał to całą drogę, a gdy znowu na oborze wójtowej przed wójtem popołudniu stanął, brakło mu odwagi.

Wójt się farbom przypatrzył, pokiwał głową, odebrał resztę pieniędzy, cwancygiera, styry dudki i grajcar, ale widząc dziwne pomieszanie Mudronia, zapytał podejrzliwie:

— Kiełś dał?

— Dwa cwancygiery — zawahał się Mudroń — osiem dudków i glajcarz.

— Nie cyganis?

— Nié.

— Jo sie ta dowiem u La-ura na drugi pendziałek, w jarmak — rzekł wójt.

Mudroń zadrzał w sobie, ale pomyślał szybko: do drugiego poniedziałku on będzie miał pieniądze za Świętego Antoniego, wójtowi wróci dwa dudki, a jeszcze mu piwa na tym jarmarku kupi, to się zagodzi.

— No idź — odezwał się wójt wyniośle i odwrócił się z poleceniem do paróbka.

— S Pane Boge ostańcie! — bąknął Mudroń nieśmiało.

— Boże cie prowadz!

Nie! Nie!... Jak to Zosia wyciągnie obie rączki do tych cukierków, jak się to Jaś do nich roześmieje!... Nie, nie — — niech ta już będzie co fce, lepiej zrobił, że kupił...

Nie ukradł, ino pożyczyl... Wróci... Jeszcze wójtowi piwa kupi... To tak, jakby z lichwą wrócił, a jeszcze s kielom!

I wyciągnęła Zosia rączki do cukierków i ośmiał się do nich Jaś.

— Doble — mówiła Zosia.

— Słodkie — mówił Jaś.

— Tato, to cutielti? — pytała Zosia.

— Cy sie to sieje i pote rośnie? — pytał Jaś.

A Mudroń im dawał, dawał, aż już nie w papierze niebyło.

— Niéma wienycyl? — spytała się Zosia.

— Tato, dejciez jesce! — prosił Jaś.

A kiedy Mudroń poszedł do sąsiada garnków parę pożyczyc na gotowanie farb — „niema wienycyl!“ — mówiła smutno Zosia, zaś Jaś rozmawiał: trza bélo dwa, abo seś zasiać, toby bély na drugom wiesne urosły...

Mudroń wrócił z garnkami, ugotował farb i nazajutrz od rana malował przez cały dzień Świę-

tęgo Antoniego. Na szczęście pogoda była śliczna i trwała i Święty mógł schnąć i na polu.

Nakoniec nadszedł ten dzień, kiedy figura wyszła do znaku i wówczas Mudroń udał się do wójta donieść, że skończył. Było to we środę. Nazajutrz było święto we czwartek i wójt obiecał przyjść obejrzeć Świętego.

Jakoż po południu w towarzystwie najdostojniejszych gospodarzy wkroczył wójt w obejście Marcina Mudronia. Kloc, wyobrażający Świętego, wykrzesany w jodle, stał podźwignięty na okrągłej podstawie, którą mu Mudroń umyślnie sporządził.

Popatrzał wójt, popatrżeli inni chłopci i nagle ogromny, niepohamowany śmiech wybuchnął z ich szerokich piersi ponad błyszczącymi od mosiężnych klamer pasami. Śmiali się, którzy przyszli, Ciskowie, Klamkosy, Harbuty, śmiali się długo, głośno, rozlegle. A z poza progu izby, z za uchylonych drzwi wyjrżeli ku nim przerażeni i zadziwieni Jaś i Zosia i skryli się napowrót.

Kiedy się gazdowie nareszcie naśmiali do syta i pasów poprawili, zapytał wójt stojącego pod figurą bladego, jak trup, Mudronia:

— Coz to?

Mudroń; gdy gazdowie zaczęli się śmiać, z początku nic nie rozumiał; pierwsze wybuchy śmiechu nawet wziął za oznaki zadowolenia. Ale teraz już zrozumiał dokładnie.

— Coz to jest?! — zapytał wójt.

Naprzeciwno wspaniałych, potężnych, dobrze uchowanych gazdów, pod wysoką figurą Świętego Antoniego stał mały, hudy, nędzny Mudroń i dygotał na całym ciele.

— Co to ma być?! — powtórzył poraz trzeci groźnie zapytanie wójt Cisek.

Mudroń chciał się odezwać, ale mu głos zawiązał w gardle; mrałkował coś tylko, jak niemowa.

— Cożeś zapisnon, cy co? — zawołał wójt z pasyą. — Gadoj! Co je to jest?

— Święty Jantoni — wybelkotał Mudroń.

— Jedlowy kłot pomalowany, nie Święty Jantoni, psiawiario jedna! — huknął wójt. — Ka piniondze, co jek ci dał na farby?! Co?! To jek ci na to dał, cobyś jedlowe kłoty ś niemi farbił, co?!

Mudroń trząsał się i kureczył pod gniewem wójtowym.

— Jedle Rymacowom het zmarnił! — ozwał się brat wójta, Jakób Cisek.

— Ten, co jom niebosecyk na Świętego okfiarował! — zawołał Klamkos.

— Po coś sie poruwał na to, kie tej robocie nie rozumiesz?! — krzyknął Malinowski.

— Basarkania! Pytał cię wto o to?! — zawołał Krzysiak ze złością.

— Haj! Haj! Pytali my cie, ty gałganie, lotrze, faktorze koński, ty pusta łeb?! — huczeli chłopci.

Marcin Mudroń drżał i myślał, że go będą bić. To ci sami, co tak chętnie ofiarowywali owśa, jarcu, prosię, barana. Mudroń spojrział ku Harbutowi, bo i on przyszedł, spojrział ku niemu błagalnie, rozpaczliwie, jak kot, którego chłopaki psom chcą rzucić, patrzy na starsze osoby — Harbut się nieśmiał za innymi. Ale Harbut splunął tfy! machnął ręką, odwrócił się i odszedł.

— Coz będzie? — ozwał się Jakób Cisek.

— Cozby béło? — odpowiedział mu brat wójt. — Mudroń jedle zapłaci, piniondze-za farby mnie wróci, zetnie się jinom jedle w Rymacowym lesie i da się do miasta Świentego zrobić. To musi być! To świente!

— Świente! Musi być! — zawołali chłopci. — Wola nieboscykowo! Świento rzec!

— Haj, haj! Wola nieboscykowo! W destamencie stoi!

Mudroń patrzył to na gazdów, to na Świentego Antoniego i świat mu się zawracał w głowie. Wreszcie jęknął:

— Jakos ja jom zapłacem? S cego?

Nie wzruszyły się chłopskie serca, ale zastanowiły się ich mózgi.

— No juści prowda — rzakł Klamkos — s cegoz on zapłaci, kie je dziod?

— No haj — przytwierdził Krzysiak.

A wtedy wójt, Mikołaj Cisek, oświadczył wspólniale:

— To nie. On to odrobi u mnie przy tyk dutkak, co ś niemi na farby poseł. Bo hoćbyś mu fciał co wziąć, coż mu weźnies? A teraz bydź zdrów, dziadu! Skoda haw dłuzy i stać!

Wtem wysunęła się z za węgła chałupy Zosia z cukierkiem, z jakimś gdzieś zawieruszonym i na nieszczęście znalezionym, w buzi.

Wójt dojrzał dziecko i cukierek i wskazał ręką obecnym.

— Icie, hłopi — rzekł — Mudroń biédok, biédok, a jego dzieci cukierki zrejom.

— He — zwrócił się nagle ku Mudroniowi, jakby mu coś w głowie zaświeciło — he! Cy to pote nie od farbuk?

Mudroń zmartwiał.

— Icie, jako zmiértwiał?! — wołał dalej wójt. — Gadoj, skondeś na cukierki lo dziecysków wzion?

Mudroń milezał.

— No — skond?! Ehe! Od farbuk? Psiakryda jedna! Kieloś ukrod, co?!

Nagle z niewiadomej przyczyny wójt stał się jeszcze wspanialszy, niż był zazwyczaj. Przestał krzyczeć i rzekł z potęgą:

— No kieloś ukrod, to twoje. Jino mi juz nie przihodź do roboty odrobiać nie, cobyś co jesse wiencyl nie zajon.

Naówczas Mudroń rzucił mu się do nóg.

— Panie wójcie, panie wójcie! — skomlał. — Panie wójcie! Na rany Boskie! Nicek nie wzion,

jino dwa dudki... Dwa dudki jino... Dydziek sie przecie spodziwoł mieć s cego wrócić!... Nieg mi darujom, nieg sie nie gniwajom! Dy moje dzieci nigda cukierków w gembie nimiały jesce, telo jino, co u inyk dzieci widowwały... Panie wójcie! Nieg mi przebacom! Dyjek jo nigda złodzieje nie bół, ani nie bedem!... Trzi razy jek z miasta wyset, kimek té cukierki kupieł... Panie wójcie! Dyj ma-jom dzieci, to wiedzom, jako to!... Dziecko i dzie-cko... Déj byś mu krew z pod serca dał... Krew z pod serca samego! Panie wójcie!... Jo té dwa dudki dubelt telo odrobiem...

Ale wójt z niesmakiem i wzgardliwością się odwrócił, a za nim odwrócili się inni, jak to za wir-nością. A Klamkos mruzczał z oburzeniem:

— Kieby jesce na hlib, ale na cukierki!...

‘Odeszli.

A Mudroń został przy jedlowym kłacie klę-czący. Wysunęły się z za drzwi dzieci, przybliżyły się ku niemu. On klęczał z włosami postracha-nemi, ze zwieszoną głową, zaplótłszy palec od pra-wej rency na palec od lawej rency poniżej brzu-cha, przy ziemi.

Klęczał tak, długo, aż się ozwał Jaś:

— Tato!

— Co?

— Ci hłopi telo wom cosi nadrumkali!

— Telo wom nadrumtali! — powtórzyła Zosia.

Marcin Mudroń oszalał. Jak był bez kapelusza,



bez czuchy, nie oglądając się na dzieci, począł uciekać od chałupy, biec przed siebie, w las. Pędził coraz dalej, coraz głębiej, pod górę, z góry na dół, przez potoki, przez żleby, przez wykroty, nie patrzył, czy śtyrbno, czy połogo, gnał coraz dalej i dalej. A za nim przez potoki, żleby i wykroty gnała żałość, gnała boleść i rozpacz. Znowu dalej go będą kopać i poniewierać, że dziad, znowu dalej przed wójtową wirnością, przed Harbutowem bogactwem będzie się musiał osplascać, jak głodny pies przed swoim panem, dalej głód, nędza i ziomb będą go gryzły, wiecznie już, wiecznie, do końca ta okropna trwoga o każde jutro, o każdy dzień... I te upokorzenia straszne! Te obchodzenie chałup, to zagładanie, czy gdzie niema roboty jakiej, to wicie się u nóg ludzkich, to przyleganie do nóg, byle tylko wyżyć, byle nie zdechnąć i z dziećmi... A dzieci, dzieci! Te najnędzniejsze, najbrudniejsze, najuboższe dzieci we wsi, nigdy nie syte, nigdy nie odziate, jak się patrzy, zawsze smutne dzieci!... Odepchnięcie, poniewierka, pogarda, wstręt innych dzieci wsiańskich! Dzieci jego, dzieci!...

I teraz nadal czy on robotę jaką znajdzie? Czy może o jakiej nawet myśleć? Zaufanie do siebie zwałił, złodziejem został, wiarę w siebie zakopał w ziem, w ziem! Tyle przynajmniej o nim mówili: Postrohany biédny, ale ci ani ceneki nie ukradnie! A teraz...

— No to jek sie juz skońcél — szepnął zapiekłemi wargami. — Od terażnia jus po mnie, a i po dzieciak... Poniewiérała mie biéda, teraz mie be poniéwiérać i poniewiérka ludzko... Juz sie sytko załomiło nademnom... ani ziemie pod mojemi nogami... Zginonek z dusom i z ciałe...

Czy się ze skały ka w żleb, w rumowisko prasnąć?...

Ale hań dzieci, Jaś i Zosia, obidwa...

Takie małe, takie głodne, takie same, nieszczęśliwe, opuszczone... Jaś i Zosia... Jakoz sie to wyhowo? Ka sie to podzieje? Po pytaniu nie pudzie, bo małe, jesce i to zima hnet... Ludze tego do siebie nie weznom, a jakby wzieni!... Jezus Maryo! Dyj by zakopali, zabili, doponiewierali tak, co raty na świecie! Dyj by sie to zapłakało, łzami zadawiło, byj by to pomarło! O Boze, Boze!...

I hań w izbie siedzom same, samiućkie, małe, głodne, zmarznione i płacom i krzicom: tata! tata!

Kanyzek jest?

He! Kiele jek dale od hałupy! Dydzieg pod Wantom! A wtorendejek leciał, ani niewiem!

I wziął się Marcin Mudroń ku domowi, ku wsi, wprost przez lasy, na łeb na szyję.

Przyleciał już późno w nocy, prawie ku raniu. Wpadł do izby. Dzieci wewlekły na się ojcową czuchę i spały — nie na łóżku, ale na gołej podłodze w kącie, przytulone do siebie ze strachu.

jedno przy drugim, że ani byś szpilki nie wraził między nie.

Marcin Mudroń popatrzył na nie — szarzało już w izbie.

A potem gruchnął na kolana z jękiem: Panie Jezu, Ojce świata, Noświentsa Panno Maryjo i Ty, Świenty Jantoni, patrónie złodzieji, dospomózciez mi! Dospomózciez mi! Dospomózciez mi! Na té dzieci moje Wos zaklinom hań śpionce! Na té dzieci moje!

I zerwał się z podłogi, chwycił narzędzia ciesielskie i skoczył ku figurze Świętego Antoniego. Nowa wiara, nowa siła weń wstąpiła. Już wiedział, co było źle, co trzeba poprawić. Nie to, że farby popsuje — jak zobaczą, że je dobrze wyrzezany, to już będzie! Pawlik mu na farby da, Pawlik...

W Pawlika wierzył. Nie przyszedł on oglądać Świętego Antoniego, bo go wójt nie zawołał.

— He! — myślał Mudroń. — Pawlik, ze jino piérze babom, prosie ka na Jarmaku, spyrke ka gazdowi z kumory ukrod, to go nie wołali — a Harbut, co po Luptowie zbijał — gazda!... Tak to wej, tak...

I krzesał. Od nowa. Od cała... W klocu drewnianym w natchnieniu jakimś począł wykuwać ludzkie ciało, począł je czuć pod ręką... Dłutem je wystrugiwał, nożem ostrym wypęczniał... I jakiś jakby las świętych zamajaczył przed nim... Las

drzew, las jodeł hrubych, starodawnych, a w każdej święty święty zaklęty jak żywy... A za sytkie te jedle po dziesięć madziarskich dukatów...

Nagle zamroczyło mu się w oczach, w mózgu...

Otworzył oczy — wznak był twarzą ku słońcu, które dopiero co wstało, głową na mokrej trawie pod figurą Świętego...

Otworzył oczy — wznak był twarzą ku słońcu, które już było na niebie, na mokrej trawie pod figurą... Dzieci były przy nim...

Otworzył oczy — wznak był twarzą ku słońcu, Zosia stała mu wedle boku z palcem w buzi, a Jaś siedział tuż przy nim z brodą opartą na rękach i patrzył nań wielkimi oczyma.

I usłyszał Mudroń, jak Jaś się pyta:

Tato, śpicie? Nie śpicie jus?

I znów otworzył oczy. Słońce było prawie w tem samym miejscu, co przedtem, trawa pod głową suchsza, mała Zosia dotykała mu rączką twarzy, płacząc pewno z głodu, a Jaś siedział nad nim, jak pierwej, nieruchomy, z brodą opartą na rękach i wpatrywał się weń wielkimi oczyma.

— Konam — przemknęło Mudroniowi przez mózg.

Zląkł się straszliwie, chciał się podnieść, dzwignąć na łokciach — ale ciemno stało mu się w oczach.

Potem usłyszał, ale Jaś dziwnie cicho mówił, snadź do kogoś: Tata lezom i śpiom, od rania...

Zosia płakała.

Kaz tyn Świenty Jantoni, coby dzieci na ten hań kwitnoncom łonke wiód?... Za roncycki... Po lewej stronie Zosia, po prawej Jaś... W ten niedziele... We złotom gme... Kajsi het... W radość...

— Serce w nim pukło — poznał nad sobą niezmiernie cichy Pawlika głos.

A potem stało się w Marcynie Mudroniu zupełnie cicho.

SZKIC OPOWIEŚCI O ZWYRTAŁOWI
MUZYCE
(O ZWYRTALE MUZYKANCIE)

Umarł stary Zwyrtala i dusza jego wybrała się do nieba, z bausami na gębie i ze skrzypcami pod pazuchą.

Patrzy: zamknięte.

Myśli se: burzył na dźwierzak niebees, bo śpiom. Siadł na słupek popod bramą, siedzi, ale mu się ukotwiło wnet, wyjął skrzypce z pod pazuchy, przycisnął zębami kolki, brząknął na strunach, wsparł skrzypce pod lewe ramię, pociągnął smyczkiem. Zrazu cichutko. bo się bał obudzić, ale się zagrał, przycisnął mocniej: A jak sobie przygrał. wspomniał sobie babe. co ostała na ziemi. a jak sobie babę wspomniał, zaraz zaśpiewał:

Bodaj sie świeciła kawalerska strona!

Kany sie obezrem, wsędył moja zona!...

Jak zaśpiewał, a głośno, usłyszał z za bramy:

— Któż tam?

— Święty Pieter — pomyślał Zwyrtala, ale odpowiedział śmiało, bo za cysarki za Tereski raj-

tary go do kilysjeruk zabrały i dwenast rok hań słuzél:

— Jo!

— Jaki „jo“?

— Zwyrtała.

— Czego się drzesz?

— Nie drem się nijako, jimok śpiéwał.

— Bodaj cie dyab — (urwało się) — z takim śpiewaniem! A coś tak późno przyszedł?

— Jedżek ta cosi unieskorzél, alejek dopiero pod odwiecerz umar.

— Pod wieczór?! Toś dopiero w pół drogi powinien być!

— He, Świenty Pietrze, jo wartki, górol.

— A skądżeś ty?

— Z gór.

— Od Nowego Targu?

— Haj.

— A z jakiej wsi?

— E hoć wom powiem, to i tak niebeecie wie-dzieć. Cy to hań znocie?

— Ja wszystko znam. Zkądżeś?

— Z Muru.

— Jako cię to piszą?

— Galica Maciek.

— A jak cię wołają?

— Zwyrtała.

— A do was się jak nazywa?

— Do Sęcka.

— No to siéǳe tam, Sęcku, nim się zrobi dzień.
A nie trza hałasić!

— Nie bedem. Miéjcie dobrom noc!

— No, no! A cicho!

Usiedział chwilę cichutko Zwyrtała, ale ku raniu trochę ziąb brał, choć to było w samo lato, znowu przybrząknął na skrzypcach.

A tu jakaś główka jedna, druga, trzecia z nad bramy.

Aniołki.

— Isz, isz — powiada jeden — jak to ładnie gra!

Jak to Zwyrtała usłyszał, jak puści po strunach smyk, jak zabrzączy na wszystkich, czterech naraz marsia!

Hej Madziar pije, hej Madziar płaci!...

— Ach! Jak ślicznie! Jak pięknie! — zawołały aniołki. — Co to za muzyka taka?

— To ze zbójeckiego.

— Ach ze zbójeckiego, ach ze zbójeckiego! — zaczęły wołać aniołki i klaskać w rączki. — Ach! Jak to ślicznie!

Wtem klucz zazgrzypiał w zamku, brama się otwarła; klucznik niebieski, Święty Piotr, w niej stanął.

— Zwyrtała!

— Haw!



— Pójdź!

— Do nieba nie trza pytać!*)

Ale się w mig rozniosło po niebie, że przyszedł góral, co gra. I doniosło się do samego Pana Boga, co rano wstawszy, przed gankiem siedział i fajkę palił. Nie robił nic, bo to była niedziela.

I jeszcze Zwyrtały nie zakwaterowali, przyszedł anioł, ale już nie taki mały w białej koszulce z białymi skrzydełkami, tylko duży, w zbroi srebrnej i z mieczem z płomienia u boku, a skrzydła miał tęczowe i powiada:

— Zwyrtała!

— Haw!

— Prawda to, że ty umiesz grać?

— Frowda.

— Zbójeckiego?

— Haj.

— Zagrałbyś?

— Ze cemuzbyk nimioł zagrać? Przed kim?

— Przed Panem Bogiem.

Skrobnał się Zwyrtała za uchem. Ale tylko raz. Galica był, a Galice wse chłopcy były śmiałe.

— Zagrom.

— No to pojdze! — powiada anioł z góraliska.

— Przepytyjem tys bars pięknie, cy tys béli może kie w holak? — zapytał się Zwyrtała grzecznie.

*) prosić.

Uśmiechnął się anioł.

— Byłem — powiada.

— Zje kie? Ale prosem przebocyć, co jek telo śmiały.

— Jak się Polacy z Tatarami bili, w Kościeliskach, do pomocy.

Z niedowierzaniem spojrział Zwyrtała na anioła; młody był — na dwadzieścia lat najwięcej.

Roześmiał się anioł, dorozumiał się, o co chodzi.

— Tu się w niebie nie starze — mówi.

Zawstydzził się Zwyrtała i odpowiada: — Nieg sie nie cudujom. Kazbyś ta sytkiemu naroz w niebie zrozumiał? Na ziemi nie rozumieś, a nie dopiero tu!

— No chodź — rzekł mu anioł i poszedł naprzód.

Idzie ulicą, szeroką (ka ta Ludźmirskiej w mieście*) ku niej! nie nie stoi!), po obu stronach domy srebrne, ka Świenci siadajom, aż przyszli przed złoty dom, a przed domem na ganku Pan Bóg. Fajkę pokurzuje.

Pokłonił się Zwyrtała pięknie, kiwnął mu Pan Bóg głową.

A dookoła aniołowie mali, duzi, archaniołowie w złotych zbrojach, Święci, Święte, i ci co w niebie są, chłopcy, baby, a bab éma! Zleciało się to

*) w Nowym Targu.

ze syćkik stron na muzykę! Cudecki robiły, tak się jedna przez drugą pchała, te dusze.

— No — ozwał się Pan Bóg — Zwyrtala graj.

A Zwyrtala znowu się pokłonił Panu Bogu i powiada: Kłaniom sie najpokorni Ig Miłości Wielkomoznemu Wszechmogącemu Panu, a cy tys niewiedzom, nima tu jakik podhalańców młodyk w tém niebie?

— Po co?

— Bo kie zatońcy, to sie lepsi gro.

Roześmiał się Pan Bóg, dał znak aniołom. Polecili dwa, ale wrócili z niczem.

— Jest paru, ale starych — melduje jeden.

— To na nic — powiada Zwyrtala. — Kaby ci ta stary tońcéł! A kaz som jest ci młodzi? Bo ta przecie i młodemu sie trefi, co umre.

A święty Jerzy powiada:

— W czyścu by ich szukać potrzeba.

— Ej wiera! Terozeście wej, panosku, dobrze pedzieli! W cyjscu! — powiada Zwyrtala. — Hań bedom! Bedzie kerdel! Jedyć wiem: Marduła Jasiak, tén co go zabiél Brzék z pod Łysyńca, przy Howańcowej Bronci, hań; bél złodziej Matejów Franek hań — obwiesili go w Mikułasie — cysto piéknie styry karcymy na Luptowie zrabował i pozpodpalował, cy tén pote niebedzie w piekle? Majercyk, Pietrzków, co go wóz z rudom na Skupniowym Uplazie przywalél, straśnie sie rad bi-

ja! — e, kieby tén haw przisel! Niebyło nadeń
tonecnika na sto wsi dookoła!

Ale Pan Bóg skinął ręką.

— Graj!

— Jakom?

— Zbójeckiego.

— Jak zbójeckiego, to zbójeckiego.

Przykręcił Zwyrtała kołki zębami, dostroił, po-
ciągnął smyczkiem, do ostatka wygrał, od

Hej Janicku serdecko,
kaześ podział piórecko
cok ci dała?

A jo jehoł do wojny,
upadło mi do wody
duso moja! —

przez

Hej baca nas, baca nas,
dobryk chłopców na zbój mas! —

aż do

bo hań hamernicy tańcujom! —

wygrał syćko, do imentu.

Pokiwał Pan Bóg głową, zwidziało się Mu, do-
piero Święci, aniołowie, zbawieni za Nim, e, tak
wom powiem, to sie juz doś nakwalić niémogli
tego Zwyrtałowego grania! A on strąśnie rad był,
jaze mu się bausy zżyły.

Hej, ale co! Pan Bóg poszedł do swojego pomieszkania, a tu dopiero Święci, Święte, janiółowie Zwyrtała pytać: graj! graj! A śpiewać umiesz?

A Zwyrtała nieodpowiedział, tylko zaraz na Miętusiańskom nutę:

Kie jo se zaspivom na pośród polany,
teloz by zagrały w kościele organy!... —

a wszyscy na to: Ach! Jak ślicznie! Ach! Jak pięknie!...

Tak Zwyrtała gra, śpiewa i co się nierobi! Idzie Święty Józef, Pan Jezusów ociec, bez niebo, a tu słyszy duszę śpiewającą, jakosi dziewecką duse:

Dopiro mi beło dwanaście miesięcy,
juz hodzili ku mnie hłopczy śpiwajęcy! —

ślucha Święty Józef, jeszcze się nie nasłuchał, a tu z drugiej strony jakasi mężka dusza, basem:

Kiebyś ty dziewcyno nie była rodzina
joby tego zażył, kogo byś lubiła!

Jeszcze się Święty Józef nie osatał, co to, a tu, poznał, z trzeciej strony anielskim tenorem, ale to tak z góry, na moc, jaze hucalo po niebie:

Pobij Boze, pobij tego owcaricka,
co jego owiecki idom do wirsycka!

Złapał się Święty Józef za głowę! Kiz to sto dziadów!? — pada.

— Je coz to takiego?!

Leci ku Świętemu Piotrowi, a tu, w tem miejscu, gdzie się dusze zbawione anielskich pieśni uczyć mają, nie archanioł Gabryel pośrodku ze złotą pałeczką i trąbką stoi, tylko Zwyrtała na krześle siedzi i gra, a koło niego dusze męzkie, żeńskie i aniołowie już dość zdatnie chórem:

Podźmy jus du domu — nocka ciemna,
oby nom niebeła — nadaremna,
węgierska ślachta — piniązki mo,
my śwarne hłepoki, to nom ik do!....

— Chryste Jezu Panie! — krzyknął Święty Józef i do Świętego Piotra jeszcze warcej się poniósł: co się tu robi?!

Przychodzi w te razy archanioł Gabryel i powiada, że niechce nikt w niebie inaczej śpiewać, tylko po góralsku. Nawet święta Cecyljo.

— Zwyrtała ich uczy — powiada — cud*) sie robi! Nowych pieśni się mieli nauczyć, jutro święto Matki Boskiej Zielnej, nie umie nikt nic!

Przyszła noc, słuchają: ztąd i ztąd idą góralskie nuty, całe niebo jaz giełcy!

Na rano powiada Święty Pieter do archaniola

*) Nadzwyczajne rzeczy.

Gabryela: Tak nie może być. Nie zawołałby pan tego Zwyrtały?

— A dobrze.

Idzie Zwyrtała, gęśle pod pachą; pokłonił się.

— Zwyrtała! — powiada święty Piotr. — Nie poszedłbyś ty gdzieindziej?

— Z haw stela?

— Tak.

— Z nieba?

— Aha!

— Ze ka?

— Ka? — powtórzył święty Piotr. — To też to...

I zamyślił się.

— A bez coż tak? — pyta się Zwyrtała. — Déj-mie haw po śmierci posłali.

— To też to właśnie...

— Nie krodek, nie zbijał, nie bił sie —

— Wiem, wiem!

— No to co?

— Ale wszyscy w niebie po góralsku śpiewają, odkąd ty tu!

— E! To to to?

— Zwyrtała! — powiada święty Piotr — (zatrzymał się). — Hm — z nieba no to gdzie?

A Zwyrtała pomilczał trochę, skrobnał się za uchem i mówi: E, przesem Ig Miłości, o to niek Ig głowa nie boli! Na mnie to ta hojco przistanie! Idem!

— Dokąd?

— Je skondek prziseł.

— Na ziemię?

— Ze ba haj.

— Ja cię myślałem na jaką gwiazdę dać. —

— Nie pytom!*) Nijakik gwiazdów nietrza sukać! Idem hań, dołu.

— Z nieba?

— E, moji ślicni piękni, jo i tam niebo nojdem! Beem se hodziel po lasak, po dolinak grający. Beem strzóg, coby starodowne nuty nie wymarły. Siednie hłopok z gęslami przy owcak — zagrom mu cihućko na turnie. Zaśpięwo dziewce za krowami w upłazie — pomogem jēj. Pudom starzy gazdowie w las, drzewo ścinać, ząbrzęcem im za usami, jako ojcowie grawali.

A niebedzie nikogo, to bedzie woda po potokak, bedom stawy zamarźnione, ka wiater gwizdo lodami, bedzie las, mnie sie hań nie ukotwi, ani za niebe nie zacnie. Jo kiek zel, tok nieroz Pana Boga pytał, coby mi po śmierci jino wiecnie w holak ostać pozwolel. Jo o inkse niebo niestojem, ani byk gór na inacy, hojby mi siedem niebów dawali, nie mieniał!

— No to, Zwyrtała, idź, bobyś nam tu całe niebo zgóralszczyl! A niebędziesz se krzywdował?

*) Nie proszę, niechcę.

A Zwyrtala aż skrzypce ze smyczkiem ku głowie podniósł!

— Mnie hań niebo, ka i serce! — powiada.

I pokłonił się pięknie i wyszedł za niebieską bramę na gościniec ku ziemi — noc była. Mleczną drogą na dół szedł, skrzypce pod pachą niesący, a kiedy się już na ślebodzie uczuł, krzyknął: Hu ha! — i z góry w nutę uderzył:

Górol jo se górol, z popod samyk Tater!
Dyscyk mnie odkompał, odkołyśał wiater!

Krzywaniu, Krzywaniu, coś ty tak osowiał?
Cy cie śnieg prziprusył, cy cie wietrzyk owiał?

Hej kozicki, kozicki, wtoređys hadzajom?
W Dolinie Pior-zysteј tam one bywajom!

Janicku, Janicku, sto hromów do tobie,
po całej dziedzinie idzie hyr o tobie!

Nie wstycie się ludzie, macie zbója w rodzie,
zbójnik pudzie w niebo na samiućkim przodzie!...

I szedł dalej Zwyrtala śpiewający drogą mleczną w dół, aż zeszedł ku szczytom na skalne perci i wstąpił w głębinę Tatr.

ZA SYTKO



Przychodzi do mnie mój spółnik, Francisek Walos, i pado mi tak: hłopi sie zbirajom, ksiądz wikaryji Kmietowie i organisty Jandrusikewie wolajom na to i fcom wieść. Ze rzędu z Widnia pisma przisty na doliny, tamci hłopi panów mordujom i rabujom, bo im starostowie poozpisowali, ze ig panowie mieli wybić do nogi i grunta im wziąć. Koło Gdowa, koło Bohnie, koło Sąca, koło Tarnowa krew sie leje. Za rannego ślakeica, cy to bedzie i wto iny ze dworu, coby ino do pańskiego odzienia odziaty był, płacom w starostwak po pięć reńskik, za zabitego po dziesięć. Krziwda sie strasna i zbrodnia dzieje — krzicał ksiądz Kmietowie z ambony — bo panowie sie gotowali na Austryjom, a z Austryje ig własnyk hłopów na nik zwyrkli. Pado ksiądz Kmietowie: hybajmy się łączyć s temi, co sie proci Austryje dźwignoné fcom, hybajmy bronić niewinyk, bo co wto kie był winowaty, to je jest teroz, za tem raze, przez winy! Wiém, zeście na tym kozaniu nie byli, to nie wiécie.

A jo na tym kozaniu nie bël, bok strãśnie syna chorego miał, na łożnice. Ku temu baba mi w pòlogu lezała, Bóg dał dwoje odrazu, a jesce było troje, takiego drobiazgu. A biêda u nas była w halupie taka, co jus dokumentnie, sprawdy pedzieć, nie było co do gęby włożyć. A tu i zima twarda — i po drwa do lasu nié miał wto iść, widziało sie, co jus ino skapać. A Franciszek mi radziël: biercie kose, Bartłomieniu, hybajecie s/nami, Polskom bronić, pado organisty.

A jo mu na to tak:

Wiés ty, Franek, co? Kiebyś mie ty w Luptów, abo i do Polski ka pozywał, ka na jakim karcyme, abo na jaki pański dwór, coby my haństela piniondze, a jeść i pić przynieśli, hoć to grzych, weru na mój sto prawdu, joby s tobom sel! Bo kie Ponbóg o mnie zabacył, to co jo mam o Nim pamiętać?! Syn, wiés, noštarsy, ten, co mi robić pomagał, ino, ino; baba leży, przez mléka je, bo skąd, a tu to dwoje przy cyckak — a hańto troje ino płace. bo sie mu jeść fce. Krowy w oborze niéma, świni w hléwie niéma — nie trza ci gadać, bo wiés. Ostatnio biêda na mnie! I jo ci haw mam kose brać i pod Gdów kajsi, cy pod Tarnów iść?! Wieraześci! Powiédz mi tak: Bartek, podź! Krew nam z pod obuhów jak woda śknie, caski łudać bedziemy, z brzuhów dobro wydremy, ale sie twoje dzieci najedzom — to pude! Ludziom wziąć, sobie dać — pude! Ale nieg sie nie ino Galicyjo,

ale świat cały wali — je wtoz tu do mnie s téj Galicyje prziseł na moje biéde zazirać — co? Ból tu kie jaki pon z pod Gdowa, cy z pod Tarnowa? Prziniós mojemu synowi łyżke rosółu, mojej babie krapke mąki, moim dzieciom hleba? Jageś go widział, to powiedz!

Poskrobał sie Francisek w głowe, markotno sie mu stało, bo wiedział, ze prowde mówiem, a i luto mu mnie béło, bo i on hudobny ból. Poskrobał sie i gwarzi: Zol s tobie sie obzywo, boleść. Jo ci sie, bracie, nie cudujem. Ino ze to... Kiebyś ból sły-szał, co ksiądz Kmietowic z ambony krzicał, jako pote do nas przed plebanijom organisty Jandrusikiewic radziéł... Kiebyś był sły-szał...

Spar coło na ręcak — jaze mu ciężko béło od myśli, co mu je ksiądz i organisty w głowe nakładli, a jo tys głowe na ręcak spar, bo i mnie ciężko od myśli béło, hej, widziało sie mi wte jesse nie tak, jako jemu.

I tak myślimy oba, jaze mój spółnik wstaje i pado: no, to byźcie zdrowi, Bartłomieniu, jo ide.

— S temi hłopami co idom?

— S temi.

— A baba, dzieci?

— Jako feom. Hań mnie woła... Ostańcie z Pane Boge!

— Boze prowadz!

Dali my se renke, poseł. To béło rano, weas.

W połednie wysefek jo przed hałupe, bok jus

ani wysiedzieć niémóg. Płac, jęk, głód, nędza, co jus nie tak, ale sie widziało, co ostatnio godzina przychodzi. Stojem przed izbom, słońce świeciło, patrzem — blyśło! Idom hłopi z kosami, nasey haw ze wsi, Hohołowanie, a na przodku ksiądz wikaryji Kmietowie i organisty Jandrusikowie z krzizami, Jandrusikowie przy sabli, a Mahajców Pieter z horengwiom.

Idom, banda cało, mijajom mie. A jo stoje poprzed izbom i patrzem. Patrzem, patrzem, kie mie nie hyci drgowka! Zedrzątek telo, co cud, zmąciło sie mi w oczak. Kie mie cosi nie hyci za krztoń, za serce! Kie nie ryknie cosi se mnie, nie płac, ale tak, jak kiebyś wej krwiom płakał! A ci idom, tako cyrniawa, hłop przy hłopie, sami nasey, haw z Hohołowa. Ani jo sie nie nazdał, co robiem, hipnonek w izbe. łapiem cieślice, cok jom miał, cuhe na kamizelke, krzicem do baby:

— Idem!

— Ka? — pyto sie.

— Pod Gdów, pod Tarnów, ka hłopi nasey idom, bronić Polskom od Austryje!...

Nie dokońcytek — dźwigła sie na pościeli, woło:

— A coż jo? A coż dzieci?

— Bóg nad wami!

— A syn?

— Nig skapie! To darmo! Jo musem iść, sysecy idom!

no telo jesse krzicała: — Bartek! — ale tak, jak kiebyś kure rznon — jo jus był w sieni!

Ostawilek sytko, biéde, głód, chorość, śmierć i miélowanie — lecem!

— Tuś?! — pyto sie Francisek, kiek go doleciał.

— Tu! — padom mu.

Ścisnieni my sie za rence — hej, ono było ostatni raz. Zastompili nom Cornodónajcanie z filancami, jogry, urzendnicy z miasta, ze rzędu przisło: nie puścić Hohołowianów! Zrobiła sie bitka. Leja, Wawrzek, z wyśniego końca z Dónajca, zacion ciupagom do głowy — Francisek spad na ziem, nie wstał więcyl.

A mnie wzieni, związali, pojechałek pote ze zian-darami w Nowy Targ, pote do Sąca, pote na Špilberg. Haniek w hereście wysiedział štyry roki. Kiek wróciél, wiécie, co jek naloz? Nalozek syna pod ziemiom, dwoje dzieci pod ziemiom, dom Zyd wzion, a baba kejsi we świat s tym dwojgem, bo to umreć nie fciało, i s tym jednym, co wyzyło, posła, nigda jek sie niedowiedział ka? Telo jek naloz. Ale mi nie zol — co jek cuł wte, kiekiek w izbe hipnon, to mi do końca zycia zapłaciło za sytko!



BABSKI WYBÓR

Byli w jednej wsi gazdowie bardzo bogaci, mieli syna jedynaka i chcieliby go byli strasznie dobrze ożenić. Ale wybór był trudny, bo się dziewczki pchały jedna przez drugą i każda swoje enoty przedstawiała.

Aż raz powiada baba do chłopca:

— Wiés, Wojtek, tak nie zrobimy nic. Nie poznas człowieka, ino wtedéj, kie nie wié, ze na niego patzisz. Oblec sie za dziada i pomiędzy hałupy idź — wtóra cie dziewczka nolepsi obdarzy, s tom nasego Kube ożenimé. Bedzie nolepsa.

Zwidziało się to chłopu, ta babska rada, wziął starą czuchę, łatane portki, wziął na plecy torbę, w rękę kij i poszedł. Rzekomo dziad.

Idzie pomiędzy chałupy, chodził cały dzień, wrócił wieczorem i siada na ławie zmartwiony, a gębę miał z jednej strony spuchniętą.

— No coź? — pyta się go baba. — Wtoraz ci sie na niewiaste udała?

— He — powiada chłop — obiór trudny. Zaselek ku piérsej: dała mi spyrki, zaselek ku dru-

giej: dała mi obrozek świencony, zasełek ku trzeciej: wyprała mi kosule — cos teraz wiés? Jedno scodra, drugo nabożna, trzecio robotna — syćkie dobre.

— Hm — mruknęła baba. — Iści ze obiór trudny... Ale coż ci to, co mas gębę spuchnionom?

— E to nic, ani gwary nie warce. Zasełek ku scwortej, dała mi w pysk — powiada chłop.

A baba jak nie skoczy z ławy, jak nie krzyknie:

— E głuptaku jeden! Nie gados nic? I jesce medétujes?! Jedy to tak, jakby ci sam Pon Jezus Przenojświensy z nieba palcem pokazał!

BEZ CO SIĘ ŚWIĘCI DOSTALI
NA KĘPĘ

Béło dwok hłopów i mieskali przy wodzie, jedén z jednéj strony, a drugi z drugiéj; ten, co béł na prawo, to sie nazywał Kuba Jamrozik, a ten na lawo Wawrzek Bieńkowski.

A to béło przy wsi, kajsi koło Białego Dónajca. Ci hłopi mieli grónta koło wody, proci sobie. Kie wody sły, na wiesne, to abo jednemu urwało, a drugiemu przycyniło, abo temu zaś urwało, a hańtemu darowało.

Miał kazdy z tyk dwok gazdów po świentym z drzewa wyrzezanym Kuba miał Świentego Jantoniogo, a Wawrzek Świentego Jacka.

Kie woda sła, powódź od Tater, to sie oba modlowali: Jamrozik pytał: He, Świenty Jantoni, urwijze tys Wawrzkowi, a mnie przycyń!... a Bieńkowski zaś wołał: Świenty Jacku, ślicny, piękny, kieby tys Kubowi ubyło, a mnie przyrosło!...

He, cos, prziseł taki rok, co i Kubowi i Wawrzkowi urwało.

Idzie Kuba ku Świentemu Jantoniemu, co na półce stał: je cos to robis?!

A Wawrzek samo to we swoim domie.

Pošli po rade, oba wraź, do starego pustelnika, co w lesie nieobdalno mieskał.

Pustelnik pokiwał głowom i pada im:

— Moi ślicni piękni, Świeńci tys musom uwa-
zować, coby do kłopotu pomiendzy sobom nie
przišli. Jeden drugiemu na despet nie fce zrobić.

Hébaby musieli w pośrodku rzeki stać, coby
sprawiedliwie wode dzielili.

— Hy — pada Jamrozik — to nie trudno. Jest
hań kępa na samym środku.

— No to ig hań wynieśmy — pada Bieńkowski.

— Nawet im będzie weselėj, bo bedom wroz.

Wynieśli tyk Świentyk i postavili pod daskem,
coby na nig nie lało.

— No i jako béło?

— Jako béło? Sprawiedliwie Świeńci dzielili:
zakiel Kuba i Wawrzek pomarli, kozdemu do
równości po półtora morga gróntu wody urwały.

No wicie! Co świenty rozum, to świenty!

— Zyjdyć to! Nie biadkał juz zoden, ba se przy-
kwalali, jako im ten pustelnik dobrze poradził.
Dziś ta jakiesi tamy bijom, cosi kajsi, wode ucom,
coby wiedziała, jako ma iść, a drzewiej to se hłop
wiedział i ze Świentemi sam poradzić i Pon Bóg
go nie opuścił.

— Nie opuścił...

SZYMEK KRZYŚ

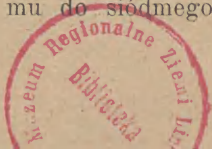
Umarł Krzyś. „Nasz Krzyś umar, już dziś tydzień, jak leży w grobie“.

Tak prosto i krótko doniesiono mi o śmierci Krzysia z Zakopanego.

Szkoda cię, Krzysiu... Któż tak, jak ty, kochał starodawne nuty, które, według twego wyrażenia, „w złoto oprawić“; któż tak, jak ty, miłował starodawne pieśni i starodawną chwałę podhalańską.. Któż tak, jak ty, czuł bezwiednie, ile było Homera i jaka homeryckość była w dawnych chłopach pod halami... Któż tak, jak ty, lubił i umiał grać po staroświecku na skrzypcach...

Szkoda cię, Krzysiu...

W śniegi, kurniawy i mrozy trzaskające i w cudowne dni pogodnego lata, czy jesieni, cośmy się to nie nawłóczyli popod Tatry! Nie zastanowiły nas ani zasy po uszy końskie, ani noce ciemne wśród lasów, ani bezdroża, gdyśmy się na małych sankach w głąb regli wbili. I nigdy nie opuściła Krzysia wierna mu do siódmego krzyżyka pa-



robska „fantazyja“, artystyczna ochota i ciekawość do wszystkiego, i szekspirowski, nieopłacony humor. Staroświecki, stary, pierwotny humor, wychowanych na swobodzie i w zdrowym życiu chłopów zamarł z Krzysiem w Zakopanem bodaj zupełnie. Gdy czytam siedemnastowieczny „Ogród fraszek“ Wacława Potockiego, to mi się czasem zdaje, że słyszę Krzysia. Ta sama zwężłość, rubaszność, podobny żart — podobny zresztą język.

Krzyś w Zakopanem mieszkał, miał dom gościnny, „panów woził“, ale cywilizacya nie przyklepiła na nim ani jednego swego wytartego liczmanu, nie starła zeń ani jednej łuszczyki rodnej dawnej kultury. Krzyś zanadto był wbity w pamięć o „dawnych czasach“ i zanadto pierwotny, aby cokolwiek nowego i obcego doń przyłgnąć zdołało. Włóczył się za młodu światami, chodził na roboty do Pesztu, ale tam przedewszystkiem grał, a „dziewki to za nim snurem sły, a wina cyrwonego to zawdy konewkom mógł pić“; chodził do roboty „do koleje“, na Liptów, ale tam znowu przedewszystkiem grawał Gadejom, Matejom, Mocarnym i innym honornym chłopom, którzy co nieco na taczkach ziemi na wały kolejowe wozili, a więcej po Liptowie „za swojemi interesami wandrowali“... Krzyś młodość przegrał na skrzypcach i prześpiewał. A „hłopy wte byli strahotne i ohotne“. „Kie taki wzion

tańczyć, to tańczył całom noc. Kiz byś mu dyasi zdołał wygrać?“ „Basisty przy Krzysowi“ wiązał kawałek drzewa pod podeszwę do kierpca, a kiedy już się chłopci „ka na weselu, abo w karcynie“ podochocili, „to dość béło, kieś mu ta coby jino smycke po strunak zgrzipnon, a Wojtek tém drewné po dylak łupkał, to tak seł głowom po powale, bo się mu widziało, ze mu jus tak piéknie gramy. A to hłopy béły nie takie, jak dziś! Hłopy béły zdrowe! Za konia taki siéłe miał! Hłopy béły wielgie, śmiałe!“

Mały, drobny, sucherlawy Krzys, olśniony w młodości siłą i śmiałością tych chłopów, pozostawał w tem olśnieniu do końca. Mówiło się z Krzysiem o wszystkim. Ksiądz, oprócz tego, gdy z „Panem Bogiem“ jechał, był dla niego przedewszystkiem figurą, mającą gospodynię, „nawet o „ojcu świętym“ mówił bez osobliwego namaszczenia, bez osobliwego też przejęcia o „cysarzu“ — ale za to raz pod Kościeliskami na drodze stoi wysoki, smukły stary chłop. Spojrzał na nas — czysty orzeł drapieżny. Krzys nachyla się do mnie i szepce uroczyście z przejęciem: „Panie, Izydór Mateja“...

Stary zbójnik, syn słynnego Janicka Matei, brat jeszcze słynniejszego Wojtka i godnych jego Jaśka i Józka. Podobnie za czasów Samuela i Krzysztofa Zborowskich musiał drobny szlachcic wymieniać nazwisko: Z b o r o w s k i.

Wielkiej żywej epopei homeryckiej dawnej podhalańszczyzny ubył z Krzysiem jeden z ostatnich świadków, bo jej konania jeszcze wczesną młodością zasięgnął, a zarazem jeden z ostatnich, którzy ją we krwi mieli. Krzys nie opowiadał „panom“ — Krzys współżył pamięcią. Uwielbiał, podziwiał, wspominał i opowiadał. Jego opowiadania były tem różne od opowiadań n. p. takiego Sabala, że Krzys przedewszystkiem sam był podurokiem i podziw swój słuchaczowi chciał wszcześcić. Taki Sabala działał osobiście — „Sabala zaśpiewał, Krzywań mu odpedział, bo o jego sprawie nik inny niewiedział“ — był herosem; podobnie herosami, choć tylko myśliwskimi, byli Maciek Sieczka, lub żyjący jeszcze Tatar Szymon. Opowiadanie kogoś, który sam czegoś dokonywał, inny ma charakter, jak tego, który jakąś chwałę głosi. Krzys nie miał się nigdy innego „rzemieśla“, jak paszenia owiec, roboty we fabryce w Peszcie, czy przy kolei, gazdowania na roli i muzyki — natomiast był poetą nieświadomionym przez artystyczną wrażliwość swej natury. Pracował, jak wszyscy, ale żył myślą w jedynym u nas do niedawna jeszcze świecie eposu.

Religia też, której go nauczono, ani dokumenta cywilizacyi, które w Zakopanem widział, nie osłabiły w nim ani na włos całej najpierwotniejszej wiary; dla niego dziwożony rzeczwiście mieszkają niegdyś w uspiszku powyżej Bielskich Grót,

dyabły funkcjonowały bezpośrednio, nadprzyrodzone moce, poza temi, których kościół dozwala; brały udział w życiu na ziemi, zwierzęta miały przeczucia i widzenia, „cosi“ było potęgą świata. Krzyś był bezwiednym poetą zamarłego rycerstwa i zamierającego pogaństwa na Podhalu i dlatego był nieopłaconym, nieoszacowanym jego skarbem.

A mnie ubył ostatni między góralami przyjaciel. Gdy z powodu zdrowia w latach ostatnich musiałem zaniechać wycieczek w Tatry, wędrowaliśmy Krzysiom wózkami, czy sankami, popod Tatry. Bywały w tych wędrowkach takie chwile, które zarówno mnie, jak jemu, pozostawały na zawsze w pamięci. Czy owo cudowne odsłonięcie się z mgieł Łomnicy od Kiezmorku, czy owo unycie się ranne na świtanie w jesieni w potoku ze Staroleśnej Doliny, podobne do obmycia się w jakimś Świętego Zdrowia źródła, czy ów wjazd zimowy do Doliny Chochołowskiej, gdy złotem słońce ją zalało, a na zdymsku, w oślepiającej oświacie słońca, w południe tak jasne, błękitne i pogodne, że ubezwładniająca, dziewięć sarni się pasło, jak w dniu stworzenia, w bezludziu, prawie bez trwogi...

I ów las spizki, rozśpiewany ptakami, jak w Biblii...

I owa noc w głuchym strasznym borze wśród śniegów, w przepaści pustynnej... I owa nasza

wspólna nieujęta, nieobjęta miłość ku górcom, w których najpiękniejsze śpią nasze lata...

Wszystko to już skończone, mój stary Krzysiu; niepojedziemy więcej ani „na Śpis“, ani „ku Ora-wie“. Przyszło ci „odpytać“ świat i pożegnać się z nim. Co kogo obchodzi twoja śmierć? Tysiące starych chłopów umierają codzien i jestto rzecz tak naturalna i pospolita, jak opad liści jesienią. Ale że moje „Podhale“ jest książką, w którą ja wszystko, co w Tatrach znalazłem i czułem, zam-nykam: więc i twojej pamięci, opowiadaczu ich homeryckiej przeszłości, grajku we wicherze uro-dzonych nut i śpiewaku przedwiecznych pieśni, a mój stary przyjacielu, te kilka kart poświęcam.

O PANU JEZUSIE I ZBÓJNIKACH

Seł rãz Pon Jezus ze Świentym Pietrem Pawłem
bez las i spotkali ig zbójnicy.

To było kajsi w górak, na Luptowie, cy kajsi.

— Nieg będzie pofalony — powiada Pon Jezus i uklonił sie kapelusem.

— Niegze bedzie na wieki wieków. Jamen — pado harnaś zbójecki, herśt.

— Ka idziecie?

Kciał Pon Jezus cosi rzec, ale mu Świenty Pieter Paweł niedał, ba pilno gwarzy: Pó pytaniu.

Ze to niby po prośbie, wiécie, śli.

A to bez to, bo widział torby, a łakomy był, jako to z biednego stanu, hoć i Świenty.

Przypatrzył sie do nik obu harnaś dobrze i pado:

— Podźcie s nami.

I obrócił sie do swoik towarzisów i gwarzy:

— Ten stary bedzie dobry torbe nosić i drwa rãbać, a ten młody ogień kłaść i posługować koło jadła.

I pyta sie: Idziecie?

Skrobnon sie Świenty Pieter za uhem, bo po-



znał, że to zbójnicy, zbrój na nik był, flinty, ciupagi, nie rzec mu sie to widziało jako Świentemu, że zbójnikami hodzić, a jesce s Pane Jezusem wraz. Ale sie ta moc za uhem nie skrobał, bo sie bał i patrzy do Pana Jezusa: co bedzie?

A Pon Jezus kiwnon głowom i pada:

— Dobrze.

Straśnie sie to cudnie Świentemu Pietrowi Pawłowi zdało, ale sie prociwić nieśmiał. Jedno sie zbójników bał, drugie Pana Jezusa słuhać musiał.

Zaraz mu torbe na plecy przypieni, a Pon Jezus ino sakwe z hlebe dostał. Mało mieli jeść, bo z daleka śli.

Idom.

Ušli kęs drogi, gorąc piók, polégali zbójnikowie do cienia i pospali sie.

Gwarzi Świenty Pieter Paweł do Pana Jezusa:

— Uciekójmy, bo jesce do kłopotu przy nik przydziemé!

Ale Pon Jezus kiwnon głowom, że nie.

Kie sie zbójnicy pobudzili, idom dalej. A byto tyk zbójników trzok.

Ku wiecorowi pocéno hybiać jedzenia. Bo ta i Pon Jezus co nieco zjad, a Świenty Pieter Paweł se nie załował. Jeść sie sytkim feiało, co jaze marli od głodu idęcy.

A tu patrzom — leży pod drzewe stary cłowiek.

— Coz ci to? — pyto sie harnaś.

— Głodnyk jést — pado ten stary.

I ten zbójnik dał mu swój kawólek hleba ostatni, co go jesse sowany miał.

Idom dalej, bez pola, pocon prać grad z lodem, a zimno przysło takie, co cud!

Patrzom: zaś dziecko małe w polu płace.

— O coż płaces? — pyto się go drugi zbójnik.

— Zimno mi.

I tén drugi zbójnik sjon ze sobie kozuch i odział to dziecko i w kosuli ino ostał, jaze go trzęsło.

Idom zaś znova dalej, patrzom: dom gore. Dzieci płacom, wołajom: mamó! mamó!

I trzeci z tyk zbójników hipnon w ogień i wyniós dzieciom matke zpośród płomienia, jaze włosy osmendziél.

Pošli dalej i zašli do jednéj karcymy przencować. A tam ig kacmarka poznała i posłała odkaz do wójta, do ryktara. Przyleciał wójt z przysięznemi i z ludziami i tyk zbójników powiązali. A ś niemi i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem.

Wyprowadzili ig z karcymy, zawiedli ku śpiklé-rzowi gromadzkiemu i hań ig zawarli.

Świenty Pieter Paweł wzion płakać i godo po cihu do Pana Jezusa:

— No nie padałek Ci, Panie Jezu, ze jesse przy tyk hucfutak do kłopotu przydziemé? No to my juz w nim. Cos teraz bédzie?

A Pon Jezus nie mówi nic, ino palcem po ziemi pisał.

Na drugi dzień rano wójt i przysięzni tyk zbój-

ników i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem do miasta na wozie zawieźli. Do sądu.

Obstompiły ig ziąndary w sądzie, hajducy węgierscy, i powiedli do sądowej sale, a tam na stolcak siedzieli sędziowie.

Było ig samo tak, jak i tyk zbójników, trzok.

— Wyście kradli? — pyta sie nostarsy sędzia.

— My.

— Wyście podpalali?

— My.

— Wyście zabijali?

— My.

A o Pana Jezusa i Świentego Pietra Pawła sie nie pytał, bo ci zbójnicy zaroz pedzieli, ize ig ino po drodze ze sobom zajeni i ze musieli ś niemi iść keęcý niekeęcý.

— Co im sądzić? — pyto sie ten nostarsy sędzia sędziego po prawej rency.

A ten niewiele myślęcý pado:

— Śmierć.

— Co im sądzić? — pyto sie ten nostarsy sędzia sędziego po lawej rency.

A ten niewiele myślęcý pado:

— Śmierć.

— Wy trze bedzecie wisieć — pada nostarsy sędzia do zbójników — a wy dwa mozecie iść dū domu — zaś sie obyrtnon do Pana Jezusa i Pietra Pawła.

Swienty Pieter Paweł sie zaroz z lawy porwał,

iść gotowy, ale Pon Jezus sie shylił i po podłodze palce pisał.

— Coz pises? — spytał sie go główny sędzia. A oni nie poznali nic, jeze to Pon Jezus, ani ci sędziowie, ani niwto iny.

— Pisem was wyrok — pado Pon Jezus.

— Jakoz to nas wyrok sędziowski po kurzu po podłodze palce pises?!

A Pon Jezus dźwignon głowe i rzók:

— Coś wcora wiecór zrobiél?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbiełał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Głodnegoś kije ode dźwierzy twoik odegnał

Pojźreli na niego jego dwa kolegowie i sytka w izbie, a Pon Jezus zaś sie do tego po prawej rency obzywo: ,

— Coś wcora wiecór zrobiél?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbiełał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Dziecko małe jeś bił, jaze krwiom zesło.

Pojźrał na niego jego kolega i sytka w izbie, a Pon Jezus obrócił sie do tego po lawej rency i gwarzi:

— Coś wcora wiecór zrobiél?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbiełał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Matke jeś własnom z domu wygnał.

Pojźreli na niego sytka w izbie.

I stało się cicho w izbie sądowej, co już muhy brzęcąc było słyhać.

A Pon Jezus wte stanon na nogi i obyrtnon się ku Świntemu Pietrowi i pado:

— Podźmę tustela.

I światło mu ponad głowom zagorzało, a ci zbójnicy piersi Go poznali, iż jest Pon Jezus, i padli na kolana wołający:

— Panie Jezu, Ojcie świata, pozegnaj nas!

I Pon Jezus krziz nad niemi ucynił, a oni się zamienili w trzy drzewa jabłonne.

Pote zaraz ze Świntym Pietrem Pawłem zniknon.

I zrozumieli ludzie, że tu Bóg był i zburzili ten sądowy dom, coby w nim już nik więcej po Pału Jezusowi nie sądził, a przed jabłonnemi drzewami postavili krziz i on do dziś hań stoi.

A tyk trzok sędziów wygnali z miasta.

Tak wej bywowało drzewiej — ale teraz ani zbójników niemas, ani Pon Jezus po świecie nie hoduje.

ŚPIĄCY RYCERZE (JAKBY O NICH
CHŁOP OPOWIEDZIEĆ POWINIEN

O zaśpionyk rycérzak opowiadajom, ze majom być kajsi zaśpioni w Giewoncie. Konie hań stojom przy złobak, bo ig hań widział kowal, Fakła, co ig kuł. Bo sie im podkowy psujom i przekuwać ig trzeba.

Janioł po tego Fakle do wsi, w Kościeliska, hodziół kielka razy za jego zywoycia.

Jest hań grota, niezmierna, ciémna, ino sie kaganki świecom po ścianak. Ci rycérze śpiom, a co dziesięć lat to nóstarsy pomiendzy niémi podźwiguje głowe i pyto sie janioła, co ig pilnuje:

— Cy juz cas?

I sytka rycérze podźwigujom głowe w hełmak zelaznyk, ale janioł odpowiada:

— Nie. Śpijcie.

I śpiom dalej.

Nad niémi jest skała wielga i głęboko do zemie trza iść ku nim. Ino ze hań nie trefi jacy ten, co go janioł pilnujący powiedzie.

Jo se to nieroz myślał o tém i medétujem se, a i Faklek znał i słyszałek, jako opowiadał.



Jo se to nieroz myślę i myślę se: może to i być. Możom być zaśpioni rycérze w Giewoncie, bo sytko w Boskiej mocy.

Ale se i to myślę kie niekie, że wto wie, jako to? Cy som nie jest w naskik hłopskik piersiak zaśpioni śpiący rycérze i cy to pote ta skała, kany śpiom, to nie my?...

DZIŚ TU CICHO

TOM V.



Dziś tu ciho na téj hali, panowie idom, mléko pijom, niémas jus ani bace, ani juhasów, bo wto ci haw dziś bedzie pas, kie sytka w Ameryke jadom, gazdowie sie podrobnili, owiec niémajom, ale tu bywowało nie tak.

He, drzewiej nie tak béło.

Sałas miloński stał, samyk dojek sejsto sie pasło, kie baca cytał, skoro do kosara zegnali, béło sie cemu przypatrzeć.

Sto se jedna, sto se dwie,

stoi baca u jedle,

stoi baca pod bućkem,

cyto owce kłabućkem.

Z połednia sie shyliło:

owiecek mu hybiło,

kaj su jedna, kaj su dwie?

Stoi baca u jedle.

Kie jo bół taki nieduzy hłopiec i za honielnika jek, za gonca, słuźel, be temu wysy siedemdzie-

sieñci roków, bël bacia z Bustryku, pisał sie Juro Stopka Brzyskowy, jo haw niemały, ale przy nim dziecko.

Śmiało patrzał do światu. Bël hłop!

Dzisiok ino same dziady. Honorowyk hłopów niémas.

A béli przy nim juhasi, jak byki. Uzdobiérol se takik, jako som, to se spocywajęcy pašli. Im ta nik na zradzie nie stał. Obował sie ig kozdy. Haj

Redykał sa Jurik z gronika na gronik,
ka sa prziredykał, to se zaturlikał...

Taka o nim nuta sła. Bo ka kazeł, to se na fujerze grał, samym luptowskim juhasom pod nos, na grani, i owce, co ś nim przisły, zbéreały na turlikak. A bël we Wirheihej bacia nad bace, Jano Bleha z Kokawy, i strażnie go to mierziało, ze sie ig Poloki nie bojom, ba se jesse polski bacia na grani na fujerze gra i do doliny mu ku byrkom poziéra, a swoje mu na pokusenie podwodzi.

Pado raz do swoik ludzi:

— Pocie, hłopcy, weźcie se buńkosie, idziemy polskiemu bacy, Jurykowi Stopce, na siełe owce brać. Cy se tys bedzie jesse pote na grani fuje-rował?

Przešli bez Liljowe, w prawe polednie przisli.

Hłopi styrzej, bacia, ten Bleha, piąty.

— Dobre rano! — pado luptowski baca i kapeluse sie mu pokłoniél.

— Witajcie! — pado polski baca, a kapeluse samo to. A on jus wiedział, po co hańci przišli.

Ale on sie ig nie bał. Miał juhasów trzok, dwa béli z Ustupu, trzeci Tomek Cajka z Polan. Kie hłop do hłopa wié sposób, e, nieg cie co praśnie! jo sie niebojem, hoćby sie cało wieś na mnie zgichła!

— Piékne macie dojki — pado Bleha.

— A piékne, dzieńkować Bogu — gado Stopka.

— Cybyście mi sam nie podarował wtorej?

— A to se wybrakujcie!

I kie śmignie obuhe w łeb! Luptowski baca ino ręce oskrzizował. E — jus béło po nim.

Wiés, hłopce, co ci powiem, to ci powiem: łeb sie ozkięła, jak grzib, kiebyś go kopnon.

Haj.

Wziéni sie łomać. Franek Gahut z Kotelnice, co młyńskie koło ręcom hamował i hań wtedéj wolarzem béł, trombitom grzibietowom kość Luptokowi zgion, a na grzibietowej kości trombite cysto piéknie zdrzyzdzył.

Sytka trzej ci juhasi za bacom pozbyli zycia.

Wziény ig pastérki z wolarzami, bo sie juhasi niefcieli s tém babrać, honorne hłopy béły, i we-wlekły daleko w kosodrzewine, coby ig liski, orły, sępy. bo ig haw dawno béwała moc, i puhace z miésa ogryzły.

No i nic. Dobrze.

Wysło dwa dni. Pożrémé — idzie sześć bab od Luptowa.

— Dobre rano! — padajom, kie sie ku sałasowi nablizyły.

— Witajcie! — pado baco.

— Uciekły nam dwa pieski. Nie widzieliście? — pytajom sie té baby.

— E dyć som jest hań w kosodrzewinie, to se ig weźcie — pado Stopka i ukazał im wej rencom.

Zwyrtneny sie i z płacem nazod ku Liljowemu, do Luptowa, sły.

Nie pedziały nic.

One jus wiedziały, jako padło.

Nie sukały nic.

A to bély matki dwie, jedna ziena, jedna siestra i dwie frairki. Jak Bóg niefce, to ci włos z głowy nie spadnie, a jak nie, to hojbyś hodziel w zelezie, to cie Pan Bóg nalezie.

Zawdy wirhował niebedzies. Panu Bogu bez rozum nie przejdzies. Bajto!

Janosik nie taki bél, a na haku sie w Mikulasie skoncéł.

Dziś tu nietak, panowie mléko pijom, sałasa niémas, juhasów niémas, bace niémas, owiec przez mała tak, jak nic, krówsko hala sie zrobiéła, samé pastérki ino, a i shronisecko pobudowane, jedno haw, a drugie przy stawie. Dość fajne.

Ale tu drzewiej bélo nie tak.

He miéły, mocny Boże! Tym nie trza było shronisków, co haw bywowali! Kie na mróz piętami zakrzesał, to mróz uciók, a hłop ostał.

Bie!

Świat sie odmieniél.

A s tobie, hłopce, co bedzie? Jako ci wyjdzie, to ci wyjdzie, jak byś miał zajęce sumienie, to sie nie zabiéroj nika, ba trza mieć, jak niedźwiedz.

Bleha zginon, ale na Luptowie do dziśka gadujom: śmiały jak baca z Wiheijej. Ono ta i to cojsi kajsi warce.

Zawdy wirhował niebedzies, ale coś uwirhował, to twoje.

Kameraci moi, dyć mie nie niehajcie,
pod zielonym stromem tam mie pohowajcie...

— — — — —
E pod zielonym stromem tam mie pohowajcie!...

Na tle opowiadania Tomka Gadei z Polan.



NOTATKA O POLSKIM CHŁOPIE

Jo kopał rude w Magórze, wte hamry sły w Zakopaném, jaz dudniało po dolinie. Pedzioł mi taki Józek Kulawy, stary hawiorz i pokozoł mi, ka by miała ruda być i ka by jój miało być godnie. On hań po nie nie seł, bo bół stary. W takim kominie miała być, w śtolni. Jesce ta śtolnia, wiem, do dziś hań niezasuta.

Lem świt jo sie hań wzion. Niepedziołek nikomu nie, wlozek w komin, zobziérołek sie co i ka i wzionek sie do kopanio. Kopiem.

Jak kopiem, tak kopiem, widzem, ruda jest i moc jój, a tu sie bestyjstwo uwiezło i gruh! Ze-grzmiało tak, jako od pieruna i zasulo mie po kolana. Dziure, wtorédéjek właziół, zasulo do znaku. Cysto piéknie jom zasulo. A ten piorg jedzie na mnie, leci ze ścion, jak woda.

Trza beło zginoné. Boby mie beło zasulo wysy i zapucyło.

Wzionek deptać piorg nogami, depcem, depcem, on sie suje wereda, a jo ś niego nogi wydźwigujem tak, jakiebyk po śniegu miékim seł i wsejek go

miol jyno po kolana. Depcem, depcem, jo sie hań nie pytoł, wtoro godzina? Bo śmierć za mnom stała i coroz to ręcysem sięgała ku mnie. Culek jom za plecami, kościsko brzićkie, włosy jek miol długawe, to sie mi widziało, jeze mnie za nie hyce, ze zadku.

Je, méšlem se, wziena byś mie! Mozek ci sie i zwidziol, młody cłowiek. Śmierć w złym miejscu, w niesceńściu, pilnij młodego cłeka weźnie, jako starego. Ba z babom to se case rady dać nimoze. Baba pies. Taby sie i śmierci nie dała, kieby djaboł nie pomóg. Ale ten baby i w godzinie śmierci nie opuści. Posłuzy jej.

Jo sie gracem w téj rudzie, rahowołek, ze juzby miało blisko połednie być. Mnie hań słońce nie świeciło. Ciémno béło, cok ani własnego palca niewidziol.

Słuhom — cosi puko.

Słuhom jesce, przisluhujem sie — puko.

Sukajom mie.

Zaświécila sie mi tako sparecka w skale i pyto sie mi Siecka Maciek, z Łazka pod Gubałówkom, wiem, zeście go znali dobrze, a jo zaroz głos poznol:

— Z-ijes hań?

O, kwałaz Bogu! Nie zrobis mi ty nic — méšlem o śmierci, stój ze se hań za grzibietem, stój.

Kujom, kujom kilofami, wykuli dziure i Siecka uwidziol moje nogi i popod mie za nie. Ciągnie.

Je dy ta ciąg, jak mozes. Wyjeholek do pól, wyjeholek cały.

Patrzem: świat.

To sie mi, powiem wom, taki jasny dzień widziol, hoć to ku wieczorowi bélo, jak nigda. Jo nigda, w samo połednie takiego jasnego światu późnij nie ogladoł.

Cud Pana Boga!

— No — pađo Siecka — tuś! A cobyś drugi roz hań nie seł, bo my od rania kuli, kim my cie odgrzebli.

Jo im podziękowoł, nie pedziołek nic. Wiecór my zlecieli dołu, do Homer, popili my piwa s temi, co mie sukali. Bo to bélo w towarzistwie i jeden o drugiego stoł, coby my sie porombać dali jeden za drugiego.

Na drugi dzień rano, lem świt, jeseć sytka spali, jo juz bół hań.

— W samej tej dziurze?

— W samej tej. Jo sie nie boł. Dostołek ten rude i sytka mi zozrościli. Jo se to nieroz przibacujem i meślem se, ze kiebyk beł duha straciół, joby haństela bół nie wysół z-iwy. Bez picio, przez jedzenie, bez widéku, tak jako w grobie, jo hań beł kielkanoście godzin i jeseć plugastwo piorgem suło na mnie, ani na kfile nie fciało ustać. Ale moziecie wiedzieć, co jo hań nie straciół duha, kie jo sie w drugi dzień w samo to miejsce wróciół.

S cłowieke by niémiało być nika źle, kieby u-

miół duha utrzymać. Jak cie duk odstompi, to jus nogorse. Jo se to nieroz przibacujem i tagek se uwazował, bok i nieroz ze Sieckom z Maćke o tem radziół, zeby trza duha w narodzie utrzymować. Coby niebół bojący. Wygramodlas sie z bodejscego, ale sie nie bój! Kiebyk bół zginon, no to nic, a kiebyk bół po ten rude nie poseł, toby béła przepadła.

Na tle opowiadania Tomka Gadei z Polan.

PRZYPISKI (NOTATKA DO
OPOWIADANIA »ZA SYTKO«.





Powstanie chochołowskie to zupełnie odosobniony, jedyny, sam dla siebie czyn w żywocie chłopów polskich, czyn, który nie osiągnął żadnego realnego znaczenia i niczego nie spowodował, dlatego wogóle mało znany, a potem zapomniany prawie zupełnie, a który jednak jest jednym z najpiękniejszych momentów historii polskiego chłopca.

Szlachta galicyjska w 46 roku gotowała się do powstania przeciw Austryi. Trzech gorących patriotów, ksiądz Józef Leopold Kmietowicz urodzony w 1819 r. w Starym Sączu, podówczas wikary w Chochołowie; ksiądz Michał Głowacki, urodzony w 1804 r. w parafii Janowiekiej w Sandeczczynie, podówczas wikary w Poroninie, a nade wszystko Jan Kanty Andrusikiewicz, urodzony w 1815 r. w Stopnicach Królewskich pod Limanową, organista z Chochołowa, powstanie ze swej strony, chłopskie, uczynić postanowiło i istotnie w Chochołowie do „poruseństwa“ przyszło.

Kmietowicz i Andrusikiewicz trafili w Chochołowie na grunt podatny. Chochołów należał nie-

gdyś do królewszczyzny, później jednak nabywca od rządu austriackiego lasów tamtejszych zaproponował odkupienie ich chłopom, na co ci zgodzili się z radością i obrali pełnomocnikiem księdza Józefa Szczurkowskiego, proboszcza z Krosna, który fikcyjnie dla siebie lasy nabył. Od tego czasu rozpoczęła się niedola chochołowska. Ksiądz Szczurkowski zagarnął w oszukańczy sposób majątek chłopów*) i począł ich ciemnić, z rąk jego i jego niecnej rodziny dostali się Chochołowianie w ręce innego łajdaka, szlachcica, barona Borowskiego z Sieniawy, prostego zbrodniarza, który dziewczki gwałcił, ludzi katował i więził, a nadto, kto mu stał zanadto na drodze, truł; polany i grunta gazdowskie kradł, prawa paszy zaprzeczał, a w razie potrzeby miał zawsze pomoc w miejscowych władzach austriackich i ich wojsku, w pobliskim „cyrkule“ w Nowym Targu. Kulminacyjnym punktem tej szlachecko-niemieckiej antychłopskiej przyjaźni był maj 31-go roku, gdy do pędzonego na własną halę bydła chłopskiego służba barona Borowskiego strzelać rozpoczynając, przeniosła strzały i na ludzi, tak, że kilku padło, a gdy zrozpaczeni chłopci „opryszków barońskich“ kamieniami odpędzili, baron Borowski zaskarżył w cyrkule chłopów, że „chcieli iść w pomoc powstańcom za Wisłę — i że on ich na chwilę pokromił“.

Przybył komisarz cyrkulowy z dwiema kompa-

niami piechoty i bez sądu, bez jednego zapytania się chłopów, wskazanym przez Borowskiego po 80 do 100 kijów dać kazał, „że aż z ławek krew ciekla i psy ją lizały... wielu ludzi w kalectwo popadło i wczesnie pomarło“.

Chłopi tak niewiedzieli, za co byli bici, że myśleli, iż za to, że do siebie strzelać nie dali.

Nigdy uprzednio i tym razem także nie znaleźli chłopi u wyższych władz austriackich żadnego zadość uczynienia, żadnej opieki, żadnej sprawiedliwości.

Rozgoryczenie tam więc było do rządu olbrzymie; żal słuszny i wielki; niechęć gwałtowna i przekonanie, że póty nie będzie lepiej, aż „cyrniawa“ ruszy na Niemców i pożenie tych „psiógłowców ku Wadowicą, ku Krakowu“. Chłopi jednak dopytywali się pilno, coby się stało „potem“, obawiali się bowiem, że gdyby „z pana obrano króla, a takiego, jak baron Borowski był, toby wtedy zamiast jednego pana w całym państwie, dwudziestu w jednej wsi mieli“. Co do najbliższych dworów koło Chocholowa, to te z paru wyjątkami trzymały z Austriakami.

Na rozkaz „kreiskomisarza“ z Nowego Targu wójei po całym Podhalu mieli każdego „podejrzanego“ chwytac i odstawiac za nagrodą 20 reńskich od osoby. Obawiano się emisaryuszy. Polecono zaprowadzić po wsiaeh specjalne w tym celu nieustające chłopskie warty. Otóż rzeczy te



wykonywane były bardzo ściśle w szaflarskich dobrach pana Uznańskiego, w zakopiańskich zaś pana Homolacza tak ściśle, iż oficjaliści jego jeździli i chłopów kontrolowali, na kary pieniężne za zaniedbywanie warty skazując.

Kontrolowali tem gorliwiej, gdyż kary ściągane z chłopów im się dostawały.

Rząd austriacki, dowiedziawszy się o spisku powstańców, chwycił się strasznej broni. Włożył chłopom w rękę nóż i kazał rznąć. Zjawił się Szela, około 4000 szlachty i nieszlachty, byle w surducie, padło. Chłopi rznęli „panów“, lecz jakież były stosunki, gdy mogli uwierzyć, że panowie ich rznąć się zabierają!...

Czterdziesty szósty rok w Galicyi.

Na Podhale przyszły wieści, iż „lachy“ (chłopi z dolin) panów mordują — koło Gdowa, koło Bochni, koło Tarnowa. Wtedy ksiądz Kmietowicz i organista Andrusikiewicz postanowili „iść“. Było to w końcu lutego, 22-go i 23-go. Jednak nim wyruszyć zdołali, po pierwszych zagarnięciach rządowych pieniędzy i rozbrojeniach gęsto wówczas rozsiadłych posteruków straży skarbowej: urzędnicy austriaccy z żołnierzami i z chłopami z sąsiedniego Czarnego Dunajca napadli ich, raz odparci, ponowili napad z większą siłą wojskową, urlopnikami i znowu z chłopami z Czarnego Dunajca i Podczerwiennego, księdza Kmietowicza i organistę Andrusikiewicza poranili i zaareszto-

wali. Kilku ludzi z obu stron w tych utarczkach padło, do więzienia zabrano mnóstwo, torturowano ich strasznie, a — niestety — Czarnodunajczanie pastwili się nad więźniami niegorzej od Niemców. Uwięzionych gnano wśród tortur z Czarnego Dunajca przez Nowy Targ, Sącz aż na Spielberg. Ci-cha to, ale krwawa karta martyrologii polskiej.

Tak tedy powstanie, czyli „poruseństwo“ chochołowskie w samym zarodku stłumione zostało; wątpić niemożna, że gdyby było się rozwinęło, obok Bartosza Głowackiego z dolin stałby jakiś Wojtek Zych, czy Jędrzek Kojś z gór, od Witowa, czy Chochołowa.

Chochołów albowiem miał bohaterską wojenną tradycję. Jestto obok Białki, najsłynniejsza sołtysia wieś na Podhalu, z nadaniami i przywilejami królewskimi Batorego, Zygmunta III, Michała Wiśniowieckiego.

Ale gdy Białczanie, Nowobilscy sołtysi, głównie zbójeckimi czynami sławę zdobywali, sołtysi Chochołowscy od czasów Stefana Batorego niejednokrotnie w piechocie łanowej na polu bitwy krew przelali.

I ta dawna tradycja dostojna i pamięć „poruseństwa“ zostawiła chochołowskim gazdom jakieś patryarchalne pierwszeństwo wśród siedzib górali nowotarskich. Jest tam jakaś do dziś wyjątkowa powaga wielkich sołtysich domów, z olbrzymich tramów budowanych, jest majestat w

prawiecznych lipach koło kościoła, w typie starych gazdów i gaździn. Nie widzi się tam żbiczyc i rysich oczu potomków zbójnika i strzelca. To gospodarze, rolnicy, pasterze, ludzie spokojni i dostojni. Ich nuta „chochołowska“ niema tej dzikości, jaką mają inne melodye podhalańskie. Kościół stał dawno, a Chochołowianie nie zrobili sobie w dzwonnicy „kasyna“, jak to uczynili zbójnicy w Białce, uważając, że to schronienie wygodne i bezpieczne, bo i na myśl nikomu łatwo nie przyjdzie i Pan Bóg blisko.

Postacie naczelników ruchu chochołowskiego, Andrusikiewicza i Kmietowicza, oraz sprzymierzeńca ich, Głowackiego z Poronina, zgoła nieznane i zapomniane, słusznie wydobył z pyłu w wybornej swej książce „Powstania Chochołowskie“ znamienity badacz historii Tatr, dr. Stanisław Eljasz Radzikowski, z którego dziełka szczegółów powyżej przytoczonych zacerpnałem. Andrusikiewicz sam spisywał pamiętnik, dyktował go także Zygmuntowi Kaczkowskiemu; przytem pozostało po nim sporo z więzienia pisanych listów. Była to dusza gorąca i zapalna, urodzony bohater. Podobnym był ksiądz Kmietowicz, asceta, wzór dobrych obyczajów i moralności. Najciekawszym jednak z tych ludzi jest ksiądz Głowacki, indywidualista na wskroś, polyglota mówiący i piszący wszystkimi narzeczeniami słowiańskimi, kazania mówił po chłopsku (podobnie mówił je potem słynny

ksiądz Stolarczyk w Zakopanem), wiersze pisał, nieznanym w kraju, ale znanym słowiańskiemu Kollarowi i czeskiemu Safarzykowi; o tak przeczułonej duszy, że gdy raz z kazalnicy na jakiegoś obcego człowieka spojrzął: zemdlał. W kilka dni później dowiedział się, że ten człowiek popełnił był dopiero co morderstwo. Poezye swoje spalił, śmierć sobie przepowiedział i to w Sączu; tam też, uwięziony zaraz po Andrusikiewiczu i Kmietowiczu, torturowany, w szpitalu w koszarach jeszcze w 46 roku z wiosną życie zakończył. „Umarł w kajdanach“.

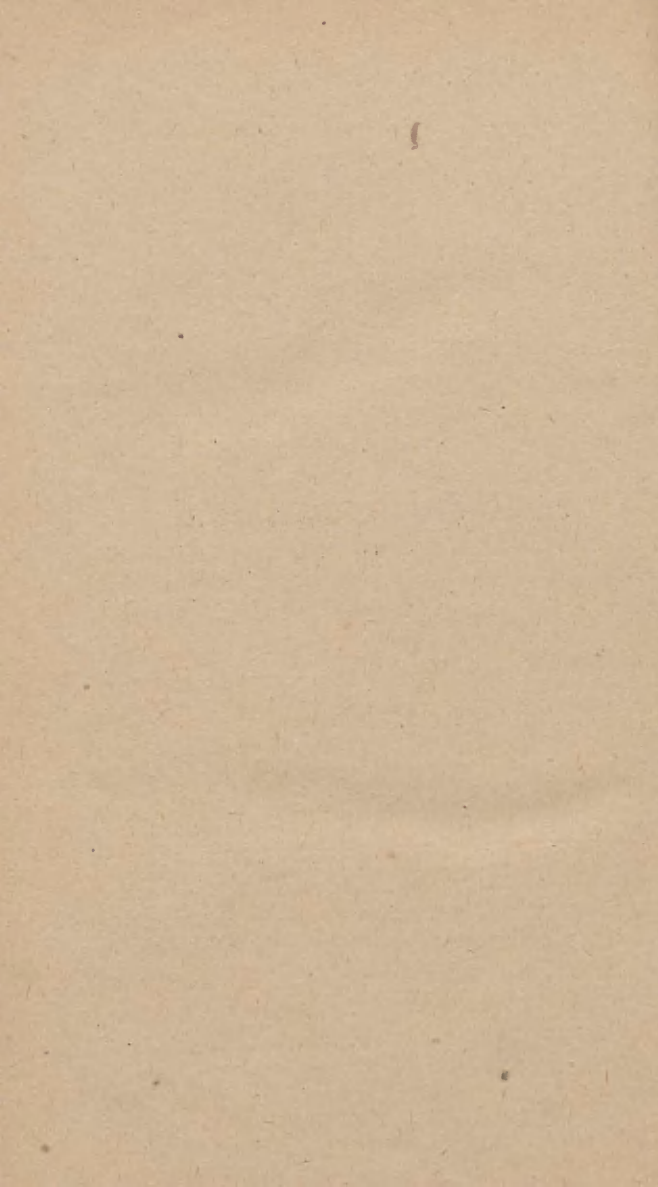
W kajdany zakuto ciężko rannych Andrusikiewicza i Kmietowicza. O Kmietowiczu biograf jego powiada: „godzien w poczet męczenników być policzony“, tyle zniósł katuszy w więzieniu.

W jaskrawem przeciwieństwie do tych księży stanęli Ojcowie Jezuici. Jezuita miał bezpośrednio po wypadkach 46-go roku, takie kazanie do Chochołowian, „jak kiebyśmy nowienksymi zbójcami byli. W tej kwili coby sie była ziem ostompila, ochotnie by był pojeden skoczył w grób“ — pisane słowa współczesnego gazdy.

Tak w krótkim zarysie przedstawia się jedyny fakt w historii chłopstwa polskiego, czyn na tle krzywdy od księdza, szlachcica i Niemców, rozpoczęty przez organistę z pod Limanowy i wikarego z Sącza, zapieczętowany kazaniem w Chochołowie.

POLOWANIE SABLIIKA

(Z Legendy Tatr).



Już się ku wiosnie brało, śnieg w dolinach tatrzańskich ginał, w cieniu trwał jeszcze, a w słońcu w błoto się przeistoczył. Dziką i pustą doliną szedł stary Sablik z rusznicą przez prawe, łukiem przez lewe ramię, z ciupagą w ręku i z nożem za pasem.

Czekał on od jesieni zimę całą na ten czas. Ani go straszliwa nędza Podhala, ani bieda we własnym domu od myśli nie odwodziła. Sablik pasem brzuch głodny ściągnął, na gęślikach brzęczał, gdzie się dało gorzałkę pił, śpiewał, gwizdał i wiosny czekał. A gdy się już ile tyle ocieplilo, nie powiedziawszy nawet żonie: ostań z Pane Boge!—znikł samotnie.

Rozkosz niewypowiedzianą, radość niewypowiedzianą odczuł, gdy znowu rzemienie od kierpców potężnie przykręcał, nie na chód dzienny, ale na długie dni wędrówki; gdy znowu ciupagę w garści poczuł, która twardą stałą do twardej jego dłoni na długie dni przyrosnąć miała; gdy obuwał się w portki na to, aby może tygodnie całe ich nie ściągać; gdy to, co miał na sobie i przy sobie, na długi czas nieodzielnie z nim być miało, być

jego wszystkim i wystarczającym. Jego nóż doświadczony, jego dobrze obejrzone krzesiwo, które znajdowały się z nim tylekroć w pustkach górskich i znowu tam znaleźć się z nim miały, dawały mu rozkosz, jaką czuć może orzeł, na szpony swoje spojierający. Z radością stanął na zawiązanych kierpcach nie po to, aby do karczmy, albo do sąsiadów zabiedz, ale aby śliznąć się na nich, gdzie ludzkie oko często nie sięgło nigdy przedtem. Stanął na tęgich podeszwach ze skóry, wesoly.

Znowu czekały go noce pod niebem gołym, wiatry ze świeżego rąbania, smolne, pełne dymu i trzasku wilgotnych gałęzi, owo samotne pożywanie się strawą skąpą, lub obfite obłowy polowania, wody pite ustami z potoków, lub ze strug, sączących się między głazami. Sablik cieszył się na ową smolną polepę, którą porósł mu miała twarz, szyja, kark, ręce, że stać się miał nieledwie częścią lasu, czemś dzikiem, odyńcom, jeleniom, i smrekom podobnem i pokrewnem. Znowu oczy jego, ręce i nogi miały mu być wszystkim. Sablik miał znowu, jak od lat kulkudziesięciu, być sam z sobą, zupełnie i wyłącznie, i radował się na to, jak się cieszyć może orzeł o łowach swoich myślący.

Pogwizdując i pośpiewując oglądał swój sprzęt podróżno-strzelecki, badał go i próbował. Szedł wyzywać postacie, drogi błędne i straszne, lasy i góry, zwierza groźnego i ludzi wrogich,

strzelców przeciwników z za Tatr niemniej groźnych; szedł żyć całą pełnią swej junaczej, dra pieżnej i rycerskiej duszy, zagrażyć się w Tatrach które go wychowały.

Szedł na wichry, deszcze, śniegowe fujawice, spiekoty, mroki mgielne i nocne, na znój, pot, na trud swoich kolan, na ślizgie spiczaste kamienie, zdradne upłazy trawne, ostre sęki drzew, spadziste utrudzające ubocze i turnie ziejące przepaściami. I śmiał się sam do siebie. Albowiem w tem wyrósł, to umiłował i nie rozumiał życia bez tego. Stary Sablik kochał zdyszenie się swych piersi, spojrzenie szukające oparcia dla stopy, kochał rozciągnięcie się swego ciała na palcach rąk trzymających się ułamków skały i palcach stóp, opartych w szczelinie nad otchłanią, kochał szum piargów uwożących się mu z pod kierpców, kochał wysilony zarzut ciupagi na konar w niechęcącym puścić w górę gąszczu, kępującym głowę, ramiona, piersi, kochał wrąb jej w strom wyniosły, aby spocząć obok w kraju rysia i żbika, zmił i kuny leśnej. Droga mu była ojczyzna jego duszy myśliwskiej i wędrowniej, duszy skrzydlatej.

Szedł, aby mu wiatr w oczy i szyję gołą bił, na rozkosz nozdrzy i płuc do zimnego pędu powietrza nawykłych, szedł na radość rąk, gdy w rękawy od koszuli wiatr się wmyka, na pełnię życia skóry, gdy w twarz rześny, bystry deszcz siecze i jedna jej cząsteczka niezmyta, nieprzenikniona wo-



dą nie pozostanie. Szedł odwiedzać to, co znał, kąty lasów przepadłe, moczary skryte w gąszczu, spady wód szumiące i koleby myśliwskie, leże cięhe i tajemne, gdzie długo po odejściu strzelców ostrożna liszka, albo kuna skalna, wietrząc i spozierając dookoła, resztek słoniny szuka.

W Dolinie Piardzystej, przy tym niżnym stawie, jest hań kolibecka wyrubana w skale...

Szedł znaleźć to, co zawsze było niespodziane, gdzieś rogi kozicy przez rysia pożartej, lub lawiną straconej, gdzieś ślady wałki zimowej wilków z dzikami, lub pojedynku niedźwiedzia z odyńcem po którym często dwa szkielety obgryzione przez drapieżników pozostawały; często z pod śniegów wytajał trup człowieka, strzelca, zabitego przez współzawodników, zaskoczonego kurniawą i zawałonego śniegami, czasem skarbów poszukiwacza, co z turni odpadł, z którym się turnia usunęła, że zginął, lub zabitego tajemną ręką — złodzieja, albo ducha, co skarbów strzegł.

Całą historję strasznej pomurej, niewładanej i nieowładniętej zimy tatrzańskiej czytał Sablik na wiosnę, gdy śniegi stopniały. Gdzie lody skałę rozsadzily, gdzie śnieg las połamał, gdzie wichry w nim spustoszenie porobiły. Szlakował niedźwiedzia, gdzie spał, jelenia, gdzie ku źródłu chodził, rysia, kędy kwiaty do róż podobne rozwitych łap swoich odeiskał.

Cieszył się na świst strzały swojej, na huk swej

rusznicy, z której gładkiej lufy kula wartko i śmiegle a celnie leciała. Cieszył się na mierność swej ręki, na przykład twarzy do kolby, oka zmrózenie. Cieszył się na stuk swego toporka w ciszy gór i lasów...

Hej! Ciupaga! Z wyostrzonej stali!...

Sablik czuł się cały w sobie, cały przez siebie, skończoną czuł się istnością, tak wcięty w Tatry, jak bywa słup wbity we wodę, nad którymi jedna powierzchnia przepływała.

Tak niknął z wiosną od pół wieku, a gdy po tygodniu, dwóch, trzech, czasem po miesiącach całych do domu wrócił, znowu z Janosikiem Nędzą na wyprawy, lub na przespiegi szedł.

Jak gazdowstwo się wiodło, jak sobie żona, kiedyś piękna Tereska od Walczaków ze Skibówki, dawała rady, on o to nie dbał. To nie było jego życie.

Rusznicę Sablik wziął, ale prochu tylko na kilka nabić w rogu, bo go koło domu wypsuł; łuk niechybny starodawny przez schylone wiekiem barki przewiesił, i ruszył w góry, orzeł stary na łowy.

Szedł ku dzikiej, pustej dolinie Kościelišk. Ledwo minął las, co ją zasłaniał i drogę nad Dunajcem, kędy owce na hale, na Smytnią, w Ornak, w Tomanową, na Pyszna szły, kędy z hal siano i nawóz zwożono, a za królów Zygmunatów górniczy do kopalni srebra i żelaza trakt był, pośród odcisniętych na śniegu tropów sarn, jeleni, lisów,

kun, wiewiórek, wyder i wilków ujrzał ślad przechodniego dzika, który snadź złamaną od kuli lewą nogę zadnią powłóczył i ślady czterech niedźwiedzi, dwa wielkie, zwaszcza jeden ogromny, i dwa mniejsze, z tych jeden większy.

Popatrzył się i ozwał się sam do siebie:

— Dwa stare, niedźwiedzica z młodym i piastun.

Przypatrzył się bacznie odciskom największych łap na wilgotnym śniegu.

— On!

Poznał go Sablik. Ta sama pięta, te same palce, te same pazury. Przyłożył do śniegu ciupagę, gdzie miał naznaczony znak długości i szerokości tych łap wzdużyć i syrzć. On był.

He, Boze, dajże się ś nim zejść!

Siedm dyasków zjadło aj zjadło, zėj dy sie mi widzi, że jesse urósł. Hoć temu bedzie moze telo, jako mnie...

Sablik nie pamiętał już dokładnie, odkąd za „nim“ chodził: zdawało mu się, że od samej weznesnej młodości, odkąd polować zaczął.

Sablik go widział i uznał, że nie było godniejszego w Tatrach niedźwiedzica, ani nie będzie, chyba za trzysta lat. Jak się Janosik Nędzów trafił jeden na całe Tatry i od czasu Toporów Łamiskały i Walilasa z Hrubego chłopca takiego pod Tatrami nie było, tak się i ten niedźwiedź trafił i drugiego takiego niemasz. Na chłopca i na niedź-

wiedzia trza czekać. Gawiedzi jest dość, ale chłop eoby był jak się patrzy, a i niedźwiedź, czas minie.

Widział go Sablik kilka razy i strzelał doń. Ale czy chybiał zawsze, czy tylko po kudłach kulą osmędził, nie mógł poznać, bo nigdy kropli farby na śniegu, ani na rosie, czy mchu znać nie było.

Sablik w bądź co nie wierzył, ale już czasem przypuszczał, że niedźwiedź przysady, sposoby miał, jak czarnoksiężnik.

Znali go i inni strzeley, Jędrzej Wala, Sieczka Maciek, Sobczak Staszek i jego ojciec Sobanek, Samek Wojtek, Symcio Tatar, Jarząbek Jasiek z Zakopanego, znali go Tyrałowie, Marduła Józek z Polan, Wojtek Bukowski z Pająkówki, strzeley najslawniejsi, ale nie radzi nawet mówili o nim. Bo to potwora była tak straszna, że im serce w piersiach miękło i nieraz go koło siebie puścili, nie strzelając, a z widłami myśliwskimi i toporem, czy maczugą żaden by się przed nim stanąć nie ważył. Woły on najpotężniejsze ciosem łapy zabijał, a tak zuchwały i odważny był, że gdy go w Zuberskiej Dolinie za Rohaczami woły gonić zaczęły i na sporą skałę nagnały, stamtąd ze skały na nie skoczył i po grzbietach im, jak po moście wichrem przeleciał, straszliwe tylko krwawe bruzdy na mięsie zostawiwszy. W ten sposób do lasu uciekł i tej jeszcze nocy dwa woły z tego stada ubił.

Czyniono na niego sieci, stawiano oklepce żelazne, kopano doły — obchodził.

Sabluka myśliwska dusza płonęła do tego niedźwiedzia. Abo ja twój, abo ty mój — myślał. A choć towarzystwo myśliwskie lubił, z tym niedźwiedziem samotnie się tylko spotkać pragnął, aby z nim nikt rozkoszy walki i chwały zwycięstwa nie dzielił, a jeśli ulegnie — dziś, czy jutro to jedność.

A nie wątpił, że przyjdzie taki dzień i taka godzina, kiedy się oko w oko zewrą — na śmierć i życie.

Stary Sablik nie bał się potwora, bo wogóle nie bał się śmierci. Urodzisz się bez twojej woli, żyjesz i umrzeć musisz. A co potem, o to się nie kłopotcz, bo to darmo, nie dowiesz się, a potem będziesz wiedział. Niebyło o czem myśleć. Zwierz zdechnie, drzewozgnije, człowiek umrze. Tak musi być.

Dziką pustą doliną Kościelisk nad wodą, aż ku źródłu, gdzie się woda w dwie strony dzieli Sablik tropem niedźwiedzim postępował, a trop to był z nocy. Ale nieopodal za źródłem tropy się dzieliły: niedźwiedzica z młodemi poszła w górę na prawo, w ubocz, on poszedł samotnie dalej doliną. I Sablik poszedł za nim.

Dzień był cichy i mgła górę przysiadła, lecz tak cienka, że słońce świeciło przez nią przyćmione i ponad nią wysoko widać było koło światła w sześodze, w oćmie i zatajeniu, jakby w usidleniu zamroku.

Niedźwiedź skrecił na Smytnią, na lewo prze-

szedł tuż koło pustych jeszcze szop juhaskich, wstąpił na ubocze lesiste, i drąc się między wykroty, przelażąc przez skały, sterczące ze śniegów i w śniegi zapadając, przebrał się ku wieczorowi już do Doliny Kamiennej pod Czerwne Wierchy. Sablik zmiarkował, że człowieka zaczął i ucieka przed nim.

Uradował się jego duch i miał to sobie za dobrą przypowieść.

W Kamiennej Dolinie trzeba było nocować.

Sablik wynalazł kamień wielki z małym wydrążeniem na wierzchu, ułożył chrustu i drzewa kosodrzewinowego na ognisko, skrzesał ogień i w płonąca wiatrę włożył skałkę, do dołka zaś w głazie nalał wody i nasypał mąki, której odrobinię z domu wziął do woreczka, a gdy się skałka rozpałała, wsunął ją we wodę. I była kluska, którą gorzałką popił.

O sól nie pytał.

Potem wiatrę nabił tęga, kosodrzewiny naciął na zapas na noc i legł przy ogniu na mchu.

Nad nim zapalała się noc tysiącem gwiazd i sierpem miesiąca, co z za turni się dobył. Wokoło zaś były olbrzymie kamienne ściany, korytarze i zakręty, nad którymi się piętrzyły pod niebo mury, podobne do twierdz i baszt wapiennych turni. Myśl Sablikowa mimowiednie błąkała się po tych korytarzach, przepaściach, grotach odsłoniętych i pieczarach bez sklepienia niezmiernej wielkości, gdzie

mogły spoczywać od prawieków żyły złota i srebra, lub skarby, zakopane przez zbójników. A gdy go, wśród cichego szumu nocy górskiej i grzmiącego od czasu do czasu huku urwanych głazów i spadających lawin śnieżnych kędyś we wysokościach, naszedł sen: śniło mu się, iż ze skrzydłami u ramion wędruje po Kamiennej Dolinie i ciupagą skały rąbiąc, złoto z nich wyrąbuje i pod nogi sobie zgarnia.

Gdy się obudził, jeszcze cień było, lecz po zimnie poznał, iż ku dniowi się zmienia. Dorzucił patyków i gałęzi losodrzewinowych na wiatr i ręce zabijać zaczął, by się ogrzać.

A już olbrzymie ciemno-modrofioletowe cienie zaczęły się ślać po skałach i mrók nocny tajać zaczął, tak, iż gwiazdy zwolna w oczach gasły, a niebo szarzało.

Napił się Sablik gorzałki i świsnął lekko przez zęby.

Warzyć jeść czasu nie było, co zostało z wczorajszej kluski na zimno zjadł, proch pod krzemień podsypał i z pierwszym brzaskiem ruszył z legowiska.

Wiedział on, że niedźwiedź w dolinie nie nocował, ale śnieg nie prószył i oślady nie zakurzył, łatwo ją znalazł.

Het popod turnie Małolączniaka drzeć się Sablik nad przepaściami wisząc po śniegach musiał, ale sobie powtarzał: kiedy nie urwał się on, nie ur-

wem się i ja, dy ja cięższy, ake się jemu w głowie nie zawracało, to się i mnie nie powinno — i koło południa za niedźwiedziem, który znowu na południe ku Węgrom wykrecił, między Małolączniakiem a Kopą Kondracką przez Jaworową Dolinę do Wiercheichej zszedł.

Tu otoczył go tak ogromny las, że niebo ponad nim zniknęło.

Ale dzień był słoneczny, gorący prawie i wiatr ciepły od Liptowa wiał, tak, iż las pachnąć już zaczął, a i śniegu mało w nim było. Rozszerzyły się Sablikowe płuca radośnie, że znowu po długich miesiącach na węgierskiej stronie Tatr się znalazł, na tej stronie pięknej i do miodu podobnej.

Głód był, dało się jednak strzałą śmigłą jarząbka ze smreka strącić, Sablik obdarł pierze i surowo piersi zjadł i barki i udka obgryzł — nie było czasu piec. Albowiem niedźwiedź w las się wszął i Sablik czuł, że nie jest daleko i że poza dolinę nie wyszedł.

Jakoż rysim chodem za ośladą popod konary często na brzuchu się sunąc, nagle zatrzymał się. O jakie pięćdziesiąt kroków w kotlinie niedźwiedź na zadnich łapach wspięty stał i jarzębinę zeszłoroczną zmarzniętą łapami do kupy z gałęzi zgarbiał.

Sablik patrzył chwilę z gęstwiny.

Potwornego ogromu, czarny, wyciągnięty prosto zwierz wydawał się jak drzewo. Zasłonił sobą

kę przestrzeni, bo kotlinka była nie zabita smrekami, lecz wolna nieco od lasu. Tram tylko ją przewalił na poprzek spróchniały.

Niedźwiedź nie czuł człowieka; stał poniżej Sablika i wiatr od niego zaciągał.

Sablik odwiódł po cichu kurek, proch świeży podsypał na panewkę i kolbę do twarzy przycisnął, pod łopatkę na komorę wymierzywszy.

Ale nie strzelał. Wiedział on, że drugi raz w życiu tej rozkoszy mieć już niebędzie, jak nie miał jej nigdy dotąd, pół wieku życia przepołowawszy. Rozśpiewała się w nim dusza hymnem mordy, zwycięstwa, tryumfu, potęgi. Z lufą wymierzoną przed siebie pod nawalą konarów do ziemi obrosłego smreka leżąc, przez muszkę na lufie patrzył i był jakoby pijany widokiem niedźwiedzia i świadomością prochu, pakułów i kuli w rusznicy.

Starość od niego odeszła.

Wtem niedźwiedź zwrócił ku niemu głowę. Małe jego skośne ślepie zamigotały, przestał jarzębinę zgarniać i łapy zatrzymał w ruchu na gałęziach — w tej chwili Sablik za cyngiel pociągnął.

Niedźwiedź wzdrygnął się, beknął i na przednie łapy spadł.

— Dostał, bo zbecał — przemknęło przez głowę Sablika.

W tym momencie zasłonił mu się przed oczyma świat — olbrzymia czarna masa waliła się ku niemu, łamiąc konary. Ale Sablik z lekkością pta-

ka z pod gęstwy się wysunął i gałęzi sąsiedniego smreka dłońmi się uchwyciwszy, w susie między nie się dźwignął i wspinać zaczął. Z rykiem niedźwiedź dęba stanął, lecz go już nie pochwycił. Rzucił się więc na pień i wlaźć zaczął.

Sablik wspinał się coraz wyżej, myśląc: kim sie tyta wygramodlas, to ja jus bede na wierhu...

A duszę jego przenikała radość walki.

Gdy niedźwiedź w połowie drzewa był, trzasnął pod nim konar i zwierz runął na trawę.

Jak wściekły obiegał drzewo, wspinał się na zadnie łapy, ryczał i pianę z krwią z pyska toczył. Sablik miarkował, że go niedobrze, choć ciężko trafił. Mógł długo żyć.

Rusznice Sablik zostawił w gąszczu, ciupagę pod drzewem. Ale zdjął łuk z ramienia, strzałę z pod boku ze skórzanej pochwy wyciągnął i wymierzywszy w kark niedźwiedzia ugodził.

Raz po raz z piętnastu strzał, które wziął z domu, trzynaście w cielsku niedźwiedzia utopił, dwie sobie zostawiając, aż wreszcie zwierz, czy raną zmożony, czy pragnieniem spieczony, czy od bólu od strzał z pod drzewa odstąpił i w las zapadł.

Sablik natychmiast zsuwać się ze smreka zaczął.

— Pockaj weredo — mruczał — wlazbyś mi ka, zdechnon byś i zgnil... Nie na to my sie pół wieka sukali... Ckaj!

Chwycił naprzód ciupagę, poczekał chwilę, po-



ezem rzucił się ku rusznicy i nabijać ją począł.

— Na niedźwiedzia kula gaździna — mrucał przybijając ją lekko stemplem. — Na niedźwiedzia niemas nad kule...

I odnalazłszy farbę, kroczyć za nią począł.

Przy wodzie, poniżej w jarze, był zwierz i ranę broczącą ziemią z mchem darta zaciskał. Lecz gdy Sablika ujrzał, ryknął straszliwie i przed siebie się rzucił. Odskoczył Sablik w tył. Nie strzelał z góry, bo w pędzie bał się nietrafić w krzyż, albo w mały mózg, po którego czerepie kula ześlizgnąć się mogła.

Stanął i czekał, aż niedźwiedź wzniesie się przed nim na zadnie łapy.

— Teraz abo ty mój, abo ja twój — myślał przyłożywszy strzelbę ku zuchwom.

Jak kiedy płomień podczas pożaru dach przeżre i z kłębem czarnego dymu z wichrem ponadeń wybuchnie, tak, z czerwonym błyskającym białokrławami kłami pyskiem, z jęzorem krwawo-spienionym i ślepiami lśniącymi wypadł ów czarny niedźwiedź na brzeg, rwąc z pod łap kamienie i widząc strzelca przed sobą, na tylne nogi się wspiął; a w tej chwili z rury Sablikowej rusznicy prysnął ogień i dym i w grzmocie strzału bestya zwała się na pierś i jęzor wysunawszy, rozszerzyła łapy bezwładnie.

Krew buchnęła z paszczeki, posoka spiekła — konać począł.

Naówczas Sablik, o kilkanaście kroków stojąc, oparł rusznicę o smrekę, ciupagę na konarze zawiesił, wyjął z rękawa czuchy gęśle, kołki zawilgłe popluł i zębami przykręcił, smykiem i palcem popróbował i o bok lewy niżej ramienia oparłszy, grać niedźwiedziowi począł.

Napełnił się cichy, nieprzejrzany, samotny las chrapaniem konającego zwierza i Sablikowem graniem. Dzikie, rwane, zgrzypiące, ostre tony drgały i plątały się z sobą ponad głową zwalezonogo potwora. Huczała w wąwozie rzeka po głazach, jakoby tło do tej muzyki poddająca.

Zwierz chrapał i charczał okropnie, krew z pyska wylewając, Sablik zaś grał. Oczy jego utopiły się w kudłatym łbie zwierza, jako mgliste gwiazdy w jesieni toną w czarnym stawie tatrzańskim.

Idzie se Sablicek, drózeckom sie wiedzie,
budzie sie prógowal z luptoskim niedźwiełzie
z juptoskim niedźwiedziem, z śpiskom niedźwie-
(dzicom,

w lesie pod Furkotem, popod Krzesanicom.

Niedźwiedzica śpiska swe mlode ucyła:

waruj sie Sablika, on gorsy jak stryla!

Co ja sie nahodziel, potoków na brodziel,
zakielak niedźwiedzia na sarce ugodziel.

Co ja nie nahodziel i tom i tom stronom,
zakiel my sie zešli w ciasnem miejscu oba,

Hucala dolina, dygotal wirsycek,

kie poseł za pasy z niedźwiedziem Sablicek.

Słońce sie pytało, w dolinie patrzalo,

cy sie hań za pasy biere skała z skałom?

Hmury się pytały, niebe uciekały,
bo się im widziało świat się wali cały!
Pan Jezus się patrzy — pre Boha żywego!
Sablik to poluje, chronięm go od złego!...

Lekcej się niedźwiedziowi konało.

Zapamiętał się Sablik w swej grze. Jakoby duchy wszystkich pomordowanych przez siebie niedźwiedzi zwoływał na pogrzeb króla Tatr, z Gorców, od Babiej Góry, z Kralowej Hali i przepastnego Dziumbiru o leśnych szczytach, gdzie polował. Z pod Rohaczów i Wołowca, z Jarzabczej, z Pysznej, z Tomanowy Polskiej, ze Strążysk i dalej z lasów Roztoki, z Pięciu Stawów, z Koprowej, z Ciemnych Smreczyn, z Pod Wysokiej, ze wsząd z Tatr wołał duch pobitych przez potworów. I otoczyły kołem swego brata, straszne, groźne, posępne.

Przybywały jeden po drugim, bo Sablik wierzył, że duchy ich tam pozostają i krążą, kędy im śmierć im zadano. Przybywały i wieńcem otaczały ostatniego, który do nich przybywał. Piąty, dziesiąty, piętnasty i dwudziesty, dwadzieścia jeden widm z czerwonymi ranami w piersiach, na łbach, na grzbietach i w brzuchach poczwarnych.

Witajom go — myślał Sablik.

I zegna go las...

Wtem niedźwiedziowi pysk posunął się po ziemi.

Naówczas Sablik schował gęśle do rękawa, po-

czekał chwilę, a potem, duży kamień podjąwszy, w łeb nim niedźwiedziowi gruchnął.

Nie drgnął.

Więc ciupagę z gałęzi zdjął i młodego smreczka ściąwszy i okzesawszy, śmiało przystąpił i z niesłychanym trudem tyle olbrzyma podważył, aby mu nożem brzuch spruć i parę z cielska wypuścić. Poczem szybko watrę złożył, ognia skrzesał i wyciągnawszy z boku sztukę, na patyk ją na dział i piec nad ogniem począł, podstawiając kapelusz, by doń sadło kapalo. A gdy się naskwarkzyło pełno, sadło wypił i jeść, nożem przy ustach urzynając mięso, począł.

Poczem tęgi płat mięsa skórę odzierając, nożem i palcami i zębami ją przytrzymując, iż koszulę i pas krwią ubroczył, z pod grzebietu wyciął i do torby wrzucił, olbrzymie zaś niedźwiedzie ściernem łamanym i ciętym chrustem, gałęziami, mchem przykrył, aby go ni strzelec, ni zwierz dziki nie znalazł. Urosła nad zwierzem mogiła. Do wsi się Sablik z powrotem zabrał, by z Tyrałami i Bukowski, powrócić i poćwiartowane mięso, oraz skórę zabrać.

Aby jednak ślady zmylić i strzelcom innym drogi do niedźwiedzia nie wskazać, głazami potoku z pod śniegów i z lodów skalnych płynącego iść począł, kierując się ku przełęczy Goryczkowej, co Polskę od Węgier dzieliła, doliną Cichą od Hali Kondratowej i Kalatowej, w przełęcz wynio-

słą między trawiastemi kopicami i szczytami położoną, kędy świstki kopały gniazda i gdzie się lubił pasać jelen z lasów węgierskich lub z pustek z pod Giewontu i Kopy Magóry wyszły.

Długi czas potokiem, z głazu na glaz skacząc, z kawałem niedźwiedziny we worku, szedł, aż się w las wkroczyć zdecydował.

Wola pére w gęstwie go wiodła, gdy głos ludzki usłyszał. Zatrzymał się, strzałę i luk w ręce ujął i w gęstwinę się skulił.

Nie mylił go słuch wyćwiczony — ludzie mówili. Zbliżali się dróżką leśną, w skos z percią się schodzącą.

Sablik przyczaił się. Już odróżniał głośną gwarę — to byli strzelcy liptowsey.

Serce poczęło mu bić mocno, lecz powoli uspokoiło się. Oparł strzałę na cięciwie i czekał. Było ich tylko dwóch.

Niedługo wyszli. Sablika w gąszczu nie zauważyli, minęli go szli dalej. Rusznice mieli na plecach. Szli na kozice, jelenie lub sarny.

Sablik mógł ich przepuścić i poczekawszy ruszyć w przeciwną drogę, by się nie spotkać. Ale wążka twarzy jego ściągnęła się, bruzdy na niej wyżłobiły, usta skrzywiły się i zbiegły ku dołowi w kątach, straszliwa nienawiść, zawziętość, a zarazem okrutność niewypowiedziana wymalowała się w mglistych starych oczach. I uśmiech straszny na twarz wystąpił. Niewiedzieli nic, szli spo-

kojni, ufni, bezpieczni. Sablik śmiał się w duchu. Naciągnął łuk, zmierzył do oka i ze świstem wypuszczona strzała w tył głowy między kapelusz a kołnierzyk barankowy serdaka ugodziła strzelca, idącego po lewej stronie.

Z jękiem zwałił się na twarz, rozkrzyżowując ramiona.

Drugi strzelec zwrócił się, zerwawszy rusznicę przez głowę, ale w tej chwili drugą strzałę Sablik wpakował mu w gardziel.

Krew go oblała, zatoczył się, rusznica mu z ręki wypadła i runął plecami na drzewo, poza nim stojące.

Wtedy Sablik z gęstwy z ciupagą w rękę wyskoczył.

W mgnieniu oka przypadł ku wspartemu o drzewo Liptakowi, a temu strach śmiertelny unieprzytomnił lice i szept śmiertelnego lęku wydarł mu się z ust:

— Sablik!...

Jedną chwilę patrzył nań Sablik, któremu siwe włosy zmierzwiły się od igieł smrekowych i polepiły od smoly — chciał widzieć trwogę nieprzyjaciela, błagalne o życie oczy, drżenie ciała wrogiego przed wzniesioną ciupagą.

Napawał się. Pił rozpacz, strach, bezsilność mordercy, mglistymi oczyma, poczem śmignął siekierą i czoło Liptakowi rozłupał.

Ten z wrzaskiem się okropnym zwałił i otrzymał pięć uderzeń na ziemi.

Zabitego już Sablik rąbał.

Poskoczył potem ku towarzyszowi, który z mózgiem przebitym martwy leżał.

Wówczas Sablik obrabował strzelców liptowskich: zabrał im rogi z prochem, kule, noże i żywność, a strzelby pochował pod głazy, aby je później zabrać, bo ciężkoby było. Wydarł strzały swoje z ran strasznych, obtarł o trawę i w pochwę schował.

I poszedł dalej.

Raźno mu się szło, lekko, rzeźwo, odmłodził. Pojadł niedźwiedziny, popił niedźwiedziego sadła, Liptaków pobił...

Wychywał już lasu w ubocze, a wówczas obejrzał się za się.

Samotny był.

Gole Wierchy były poza nim, Wielka Kopa. Tomanowa Polska, Węgierska, Czerwone Wierchy od południa wokoło, góry ogromne, pod nim las, a nad nim niebo.

Rozteżyła mu się pierś, rozwarła szeroko.

Czuł się królewski, wielki, niepokonany.

Poznają go strzelec, co towarzyszków swoich pomordowanych znajdują. Poznają go po okropnej celności strzał. I pójdzie znowu o nim wieść na Wyhodną, Kokawę, Prybilinę, Mięguszowce, Hra-

dek, Wielką, — Sablik był, ludzi pobit, Sablik chodzi po górach!...

Roześmiał się.

Jak okiem sięgnąć, samotny był, pan Tatr, kozic, jeleni, niedźwiedzi i strzelców liptowskich.

Nieprzemierzona pustynia powietrza w twarz starą, brzdami poźlobioną, wiatrem mu uderzyła.

I zwrócił się ku przełęczy w ubocz, do góry, dobywszy gęśliki z rękawa czuchy i nucąc nad opartymi pod ramię:

Sablik se zaśpiewał,
Krywań mu odpediał,
bo o jego sprawie
nik inny nie wiedział..

Nieprzemierzona przestrzeń powietrza słuchała.

A oto opodal, niewietrząc niczego złego, stado kozic igrało. Stare pasły się po odtajanej od słońca ku południowi trawie na uboczy, od czasu do czasu pozierając na młodzież, która cuda broiła. Jedne w szalonym tempie ścigały się po upłazach, inne się bodły, na kolanka przyklękając i pod brzuch różkami celując, jak zwykły czynić capy, walczące w jesieni w czas rui, drugie zjeżdżały po śniegach w dół, na zadach przysiadając i podbijając się nad urwiskami na cztery nogi, jak sprężyny stalowe odgięte. Niejedną śnieg skreślił i zwiózł na grzbiecie, przecie zawsze w porę się dźwignęła i podbiła.

Naliczył ich Sablik jedenaście starych i ośm



młodych, godny kerdel, dziewiętnaścioro. Lecz gdy kombinował, czyby je podejść mógł, nagle z góry, jakby z obłoków wypadły, orzeł na stadko uderzył. Nim zbiegły się, nim skupiły i rogi nadstawić zdołały, już na rocznego capioraka runął i szponami mu boki oblapil.

Ale podnieść nie zdołał. Cap zaś w przechodzącym wyobraźnię ludzką pędzie, począł biec na oślep przed siebie, i widział Sablik, jak orzeł skrzydła rozpiął i unoszony gnał nad przepaście. Szponów wyrwać głęboko wbitych nie mógł, dzióbem kuć ofiary wśród rozpaczego pędu po łbie nie zdołał. Sus za susem lecał cap w dół, do skrzydlatego potwora podobny. Już uderzył tak strasznie skrzydłem orłem o turnię, mimo przebiegając, że złamać je musiał, bo skrzydło orłowi zwisło. Lecz snadź w oczy krzywym dzióbem ptak uderzyć potrafił, bo oto bez kierunku, na oślep capa Sablik gnającego zobaczył w urwiska, gdzie gruchnął z krzesaniczy na upłaz i toczyć się poczęli w dół wśród olbrzymich wahadeł skrzydeł orlich, aż znikli Sablikowi z przed wzroku.

— No niegze ta — pomyślał Sablik — przydzimé po niedźwiedzia jutro, to ig ta najdziemy w dolinie, jak ig liski i rysie nie zezrejem do znaku.

Kerdel kozic pierzchał wichrem ku szczytom nad Kasprową Doliną.

SPIS RZECZY

	Str.
1. O ludzkiej biedzie.	5
2. Szkic opowieści o Zwyrtałowi muzyce (o Zwyrtałe muzykancie)	35
3. Za sytko	49
4. Babski wybór	57
5. Bez co się święci dostali na kępę	61
6. Szymek Krzyś	65
7. O Panu Jezusie i zbójnikach	73
8. Śpiący rycerze (jakby o nich chłop opowiedzieć powinien)	81
9. Dziś tu cicho	85
10. Notatka o polskim chłopie	93
11. Przypiski (notatka do opowiadania Za sytko)	99
12. Polowanie Sablika (Z Legendy Tatr)	109

**WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
J. CZERNECKIEGO W KRAKOWIE.**

BIBLIOTEKA NOWELISTYCZNA:

K

- | | | |
|-----|---|-----|
| 1. | Maupassant G.: Krwawy rok. Nowele . . wyczerpane | |
| 2. | » » Widma wojny, Nowele . . . » | |
| 3. | Filochowska H.: Czarne łabędzie, Nowele . . . | 3.— |
| 4. | Sałykow-Szczedryn: Satyry i powiastki . . . | 3.— |
| 5. | Josse H.: Pogodne obrazki, Nowele | 3.— |
| 6. | Ożegalska H.: Storczyki, Nowele | 3.— |
| 7. | Maupassant G.: Historye małżeńskie, Nowele . | 3.— |
| 8. | Soplica Ewa: Momenty, Nowele i obrazki . . | 3.— |
| 9. | Vrchlicky J.: Powiastki ironiczne i sentymentalne | 3.— |
| 10. | Awerczenko A.: Suche ostatki, Nowele . . . | 3.— |
| 11. | Poe Edgar: Zdradzieckie serce, Nowele . . . | 3.— |
| 12. | Tetmajer K.: Tryumf, Nowele | 4.— |
| 13. | » » W czas wojny, Nowele | 4.— |
| 14. | Zubrzycki T. W.: W szarą godzinę, Nowele . | 4.— |
| 15. | Kirkor G.: Miłość, Nowele | 3.— |
| 16. | Orkan Wł.: Miłość, Nowele | 4.— |
| 17. | Tetmajer K.: Na skalnem Podhalu I. | 4.— |
| 18. | » » » II, | 4.— |
| 19. | « » » III. | 4.— |
| 20. | » » » IV. | 4.— |
| 21. | » « » V. | 4.— |
| 22. | Pollak J.: Konkury, Nowele | 4.— |
| 23. | Orkan Wł.: Wesoły dzień, Nowele | 4.— |

POWIEŚCI, POEZYJE, DRAMATY:

- | | |
|--|------|
| Brantome: Żywoty pań swowolnych (2 tomy), prze-
łożył Boy | 20.— |
| Crebillon: Noc i chwila, przełożył Boy | 6.— |
| Gruszecki A.: Przed burzą, Powieść | 5.— |
| Na posterunku, Powieść | 5.— |
| W kraju palm i słońca | 2:40 |
| Herbaczewski J. A.: Amen | 3.— |
| Konczyński T.: Głód szczęścia, Powieść | 9.— |

Konczyński T.: Marya Leszczyńska, Ilustrowane . . .	22.—
" " wydanie zbytko- wne i oprawne	36.—
Nad głębiami, Powieść	6.—
Powrót wiosny, Komedia	3:50
Śmiertelny bieg, Powieść	8.—
Marivaux: Komedye, przełożył Boy (2 tomy) . . .	9.—
Perfall A.: Grzech, Przekład Cz. Kędzińskiego . . .	1 80
Piotrowski A.: Od Bałtyku do Karpat, Bajki z ilu- stracyami A. Piotrowskiego	8.—
Rabellais F.: Wielkie a nieocenione kroniki	8.—
Rousseau J. J.: Wyznania I przełożył Boy	8.—
» II.	8.—
» III.	8.—
Tetmajer K: Anioł śmierci, z ilustr. P. Stachewicza (w druku)	— —
Erotyki	wyczerpane
Judas, Tragedya	7.—
Koniec Epopei, Epilogu	7.—
» » ilustrowane (w druku)	— —
Na Skalnem Podhalu I.	4.—
" " " II.	4.—
" " " III.	4.—
" " " IV.	4.—
" " " V.	4.—
»Onś, z ilustr. A. Piotrowskiego	1:50
Poezye wybrane, broszur.	15.—
» » oprawne	20.—
Romans panny Opolskiej (w druku)	— —
Tryumf, Nowele	4.—
W czas wojny, Nowele	4.—
Tetmajer Wł.: Bóg się rodzi, oprawne	6.—
Marsz Skrzyneckiego	4:50
Opowieść z dawnych lat	2:50
Racławice, Powieść	3.—
Silva rerum	6.—